

# KUŹNICA

## TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 7 zł.

„USPOSOBIĆ LUD DO POJĘCIA I UKOCHANIA REWOLUCJI — LUD, KTÓRY OBLAKAC USILOWALI WROGI NASZE I WEWNĘTRZNI ZWOLENNICY PRZYWILEJU I UCISKU — JEST POWINNOŚCIĄ I ZADANIEM OPINII PUBLICZNEJ”.

Edward Dembowski.

Rok 2

Łódź, 1 kwietnia 1946 r.

Nr 12 (30)

MIECZYŚLAW WIONCZEK

## Cztery fortepiany

Hamburg, w lutym 1946.

Dzień, który zamknie pierwszy rok okupacji zwyciężonych Niemiec przez zwycięskie mocarstwa, jest niedaleki. A ponieważ dopiero praktyka ujawniła, że znacznie więcej kłopotu i zmartwień między Odrą i Renem mają rządzący, niż rządzeni, warto zrobić bilans osiągnięć polityki okupacyjnej w Niemczech i starać się przewidzieć jej dalsze linie rozwojowe. Komuż bowiem bardziej niż nam, zagrożonym zza Odry w permanencji, potrzebna jest zdolność przewidywania przyszłości naszego zachodniego sąsiada?

Uchwały poczdamskie, które oficjalnie potwierdziły fakt likwidacji niemieckich baz wypadowych na wschodzie, zawierały jeden punkt wówczas dla nas niezupełnie zrozumiały, a zawsze groźny i niepokojący. Było nim zdanie, że okupujące mocarstwa traktować będą Niemcy jako jednolity organizm gospodarczy. Jakżeż chętnie nie widzielibyśmy tego zdania uchwał poczdamskich ani wówczas, ani nigdy. Albowiem jasne jest i oczywiste, że jedność gospodarcza decyduje z góry o politycznych kształtach przyszłych, mniej czy bardziej demokratycznych Niemiec. Dzisiaj, po 10-ciu miesiącach, jakie minęły od zakończenia wojny w Europie, nikt chyba już nie ma wątpliwości, że przyzwe Niemcy, obojętnie, czy okupacja trwać będzie jeszcze lat dziewięć, czy dziewiętnaście,

PAUL ELUARD

### Gwiazdka, oskarżeni w Norymburdze mają wakacje

„Te młode dziewczęta defilowały w rytmie pięciu na godzinę przed trybunałem dzieci”.

(Z dzienników, grudzień 1945)

Świat wokół nas zamarł  
Upodlił nas nasz dom  
Od piwnic do sztandaru od źródła do płaka  
Od wcielonego mroku po pełne słońce

Narzucono nam wieczór bez końca  
Łzy zbrukane  
Uśmiech rzucony w ogień  
Opuszczone ręce

Osaczano niewinnych  
Jak zwierzęta  
Szukano oczu  
Które jasno widziały w ciemnościach  
Aby je wykłubić

I na przezroczystych ruinach  
Na ubitych w serce cierpieniach  
Oto zwyczajni sędziowie  
Ci, którzy straszą głupców  
I każą przysięgać szalonym

Subtelni znawcy moralności  
Liczą ofiary  
Jedną po drugiej potem milionami  
Ofiary i zyski  
Znikomy jest ciężar ofiar  
Ale zyski dają się przenosić

Muszą zyskać na czasie  
Przyjdzie zapomnienie proch  
Pokryje nienawiść  
Muszą zachować rozważę  
Aby nie zerwać łańcucha  
Lżejsze większe zbrodnie są możliwe

Oto wreszcie sędziowie  
Którzy przedłużają życie

przełożył Jan Kott

będą jednością zarówno gospodarczą jak i polityczną. Tym więcej poświęcać musimy temu przedmiotowi wyjątkowej uwagi.

Jakkolwiek koniec wojny nie zaskoczył nikogo ze zwycięzców (na długo przed kapitulacją Niemiec, sztaby Narodów Zjednoczonych przewidywały zakończenie działań wojennych na późną wiosnę 1945 roku), to jednak widać dzisiaj, jak mało zdążawione były wówczas przygotowania do okupacji zwyciężonego państwa, czy raczej do sprostania powstającym wskutek niej problemom. Ramowe wytyczne, przyjęte na kolejnych posiedzeniach „wielkiej trójki”, pozwalały na wszelką ich interpretację. Na domiar złego i poszczególne zwycięzcy nie bardzo sobie ich konsekwentną, indywidualną interpretację wyobrażali. Wszystko, co można by podać tu na usprawiedliwienie takiego stanu rzeczy i unysłów (okupacja tak wielkiego terytorium, zamieszkałego przez tak liczny i tak wysoko rozwinięty cywilizacyjnie naród nie ma precedensu w historii) nie zmniejszało ani nie zmniejsza płynącego stąd dla Europy niebezpieczeństwa.

Jeśli wynikiem stąd szkody nie są jeszcze tak wielkie, jak być mogło, to przyczyną tego jest nie całkowita dezorientacja i zagubienie się pokonanego narodu, a tym, w pierwszych miesiącach okupacji rzeczywistość można było robić wszystko, czego się chciało — obojętnie: z metodą, czy bez niej. Tym niemniej szkody są znaczne i jeśli wielka część mieszkańców Niemiec zwłaszcza na Zachodzie, tak szybko odzyskuje wiarę w siebie i w Niemcy, to zawiniły temu wydarzenia z okresu „wielkiej improwizacji”.

Improwizacja ta trwała najkrócej — najwyżej kilka tygodni — między Odrą i Łabą, późną jesienią skończyła się na południowym zachodzie, trwa wciąż jeszcze w strefie angielskiej, mimo że pewnie koła brytyjskie twierdzą stanowczo, że ich polityka wobec Niemców jest owocem dojrzałych refleksji i da najlepsze dla Europy rezultaty. Jakkolwiek trudno powiedzieć, że zbliżyliśmy się do ideału jednolitej postawy wszystkich zwycięzców wobec Niemiec, to jednak indywidualne linie postępowania poszczególnych okupantów są już dość wyraźne. Jeden z niemieckich komunistów nazwał tu trafnie dzisiejszy stan rzeczy, grą na czterech fortepianach.

## I.

Nikt bardziej od opinii Wielkiej Brytanii nie poddawał przez dłuższy czas w wątpliwość metod wychowawczych Związku Radzieckiego w Niemczech i ich skuteczności. Opierano się przy tym na informacjach z drugiej ręki, gdyż sowiecka strefa okupacyjna niedostępna była obserwatorom i dziennikarzom anglosaskim przez szereg miesięcy. Dopiero w grudniu, podczas mego ostatniego pobytu w Berlinie, marszałek Żukow udzielił zgody na zbiorową wycieczkę Amerykanów po Saksonii i Brandenburgii, wkrótce potem odbyli taką podróż i Anglicy. Echo tych wypraw dziennikarskich było tak różne od poprzednio wypowiadanych opinii, że warto się z nim zapoznać.

To, co już w pierwszych tygodniach okupacji radzieckiej zaskakiwało obserwatorów z zewnątrz, to niesłychanie szybkie opanowanie pokapitulacyjnego chaosu przez radziecki zarząd wojskowy. Stosunki, panujące już w czerwcu w Saksonii, wskazywały na to, że na Wschodzie Niemiec rozpoczęto znacznie wcześniej od zachodzie jak najwzajemniejsze odzwyczajanie Niemców od wojennych narowów. W prawie całkowicie zniszczonym Dreźnie, w mniej dotkniętych wojną Kamienicy i Budziszynie, życie to-

czyło się w ramach wytyczonych ściśle przez zarządzenie okupanta. Nie było ani lekkie, ani łatwe, ale było do zniesienia, choć dawało szansę tylko tym warstwom i grupom, które zdecydowały się na ostateczne rozstanie z dotychczasowymi ideałami. Sami Niemcy patrzyli na posunięcia zwycięzców ze Wschodu z niedowierzaniem i niepokojem. Powszechnie oczekiwano przecież spełnienia prorocत्व Goebbella i odpłaty za lata pobytu wojsk niemieckich na terytorium Związku Radzieckiego. Tymczasem „nowy porządek” nic nie miał wspólnego z apokaliptycznymi wizjami ostatnich numerów „Reich'u” i „Völkische’a”. Był twardy ale sprawiedliwy, a przede wszystkim skuteczny, uderzał bowiem w ekonomiczne i socjalne podstawy przeszłych i możliwych przyszłych agresji Niemiec na Europę. Polityka sowiecka w Niemczech nie wzbudziła oczywiście entuzjazmu w okupowanym narodzie. Mimo całej powściągliwości, z jaką Niemcy wypowiadają swą opinię o okupantach, łatwo wyczuć, że największą porcją niechęci obdarowują Związek Radziecki. Suponowano na Zachodzie, że przyczyna tego leży w samowoli poszczególnych członków okupacyjnych garnizonów. Nie wydaje się to umotywowane, gdyż nawet jeśli się zdarzają takie wypadki, to jednak jest ich znacznie mniej, niż spodziewano się nawet w przeszłości. Niemcy. Rzecz w tym, że naród niemiecki zdaje sobie doskonale sprawę, że imperia- lizmowi niemieckiemu największe niebezpieczeństwo grozi właśnie od tego okupanta. Postawę i zamiary Związku Radzieckiego przedstawił doskonale pewien dziennikarz amerykański, przebywający od miesięcy w Berlinie: „Jeśli opinia krajów anglosaskich skarży się na inercję i bezplanowość postępowania aliantów, którzy nie potrafili nawet uzgodnić ekonomicznej przyszłości Niemiec, to Rosjan możemy posądzać o wszystko, ale nie o inercję i brak planu. Bo jeśli my nie mamy jeszcze odpowiedzi na pytanie jak należy przebudować gospodarkę byłej Rzeszy, aby przestała być dla nas groźna, a jedno cześnie nie załamała się całkowicie, to kilkudziesiąt razy dziennie otrzymujemy od Rosjan odpowiedzi odnośnie administrowanej przez nich części tego kraju: „Deutschland über alles kaputt!” Realistycznie myślący Rosjanie wiedzą dobrze, że powieszenie kilku tysięcy głównych nazistów i odsunięcie od władzy innych nie jest żadnym rozwiązaniem problemu i że kilka pociągnięć pióra, którym podpisywano akt kapitulacji, nie unicestwiło umysłów i zasobów, dzięki którym Niemcy były diabelską groźbą militarną dla całego świata. Różnica między pełnym leką respektem Niemców przed Rosjanami a z trudem skrywaną pogardą dla łagodności Anglosasów powinna nam wreszcie otworzyć oczy (Inowojorski „Cosmopolitan” — grudzień 1945)”.

Wcześniej niż w innych strefach dopuszczenie do ożywionego życia politycznego i działalności związków zawodowych tylko powierzchownemu obserwatorowi wyda się liberalizmem rządu radzieckiego wobec Niemców. Partii te, przezwyciężając w pozostałych strefach, powstały od góry, od przywódców. Nie jest to wcale tak sprzeczne z zdrowym rozsądkiem i z europejską racją stanu, jakby się wydawało. Jeśli ktoś, na kim — nolens volens — można się oprzeć ocalał z hitlerowskiego potopu, to są to nieliczni emigranci — przywódcy partii lewicowych. Tylko oni — ludzie wokół Piecka (głowa KPD) i Grotewohla (SPD) cieszą się jakim takim zaufaniem kół radzieckich. Są to bowiem ludzie znani nie od dzisiaj. Rezerwa wobec pozostałych dwóch partii, grupujących mieszczaństwo wschodnio-niemieckie, jest zupełnie widoczna, zresztą nie czynią one nic, aby stworzyć wokół siebie atmo-

sferę zaufania sabotując bardzo przemysłnie „front jedności” groźący rzekomo mieszczańsko-chłopskim Niemcom dyktaturą partii proletariackich.

Zresztą przy surowej kontroli niemieckiej gospodarki i po likwidacji junkro-bankierstwa wszelka działalność polityczna traci na ważności i skuteczności, kanalizując równocześnie wszelkie instynkty polityczne — władcze, stwarzając pozory pewnej samodzielnosci i wydzierając atuty z rąk wszelkim amatorom konspiracji politycznej. Przy całej zewnętrznej intensywności życia politycznego w strefie sowieckiej, nic nie wskazuje na to, aby chciano tutaj dopuścić naród na dalszy stopień samodzielnosci politycznej i gospodarczej. Do jakichkolwiek wyborów jest jeszcze daleko. „Wiele czasu upłynie, zanim dopuścimy do czegoś takiego” — miał oświadczyć dziennikarzom anglosaskim indagowany o to marszałek Żukow.

Ci sami dziennikarze tak oto ocenili politykę radziecką w Niemczech wschodnich (cytat pochodzi z „New Statesman and Nation”, pisma niepodległego i zbytni filozoficzny, z 5.1. r.h.): „Jest ona jednak bardzo pozytywna. Stwierdzono, że życie robotników jest całkiem znośne, że coraz więcej kładzie się na nich odpowiedzialność za standard życiowy warstw pracujących, który jakkolwiek znacznie obniżony, utrzymuje się powyżej poziomu głodowego. Przemysł niemiecki, choć w znacznym stopniu zdemontowany w ramach reparacji wojennych, nie został całkowicie unieruchomiony i zarząd radziecki popiera produkcję dla potrzeb ludności cywilnej. Pozwolono na dość dużą autonomię samorządowi terytorialnemu, który ponosi odpowiedzialność za kierowanie gospodarką planową, istniejącą w całej strefie. Samorząd ten musiał także przeprowadzić reformę rolną w wyniku której ćwierć miliona chłopów otrzymało nowe gospodarstwa o powierzchni od sześciu do dziesięciu hektarów. Reforma ta w połączeniu z oczyszczeniem urzędów i życia gospodarczego z narodowych socjalistów i dopuszczeniem robotników do kierownictwa zakładów przemysłowych, wyeliminowała tę klasę społeczną, na której opierał się i w którą wrośli nazizm. Likwidacja ta była bezwzględna, ale ostatecznie bardziej logiczna i skuteczna niż polityka brytyjska, która chociaż bardziej humanitarna, jednak pozostawiła byłych członków partii w szeregu dziedzin niemieckiego życia publicznego”.

## II.

Byłoby wielkim nieporozumieniem zarzucanie Amerykanom braku zdecydowanej linii postępowania wobec Niemców na południowym zachodzie byłej Rzeszy. Linia ta zbiega się w pewnych punktach z linią radziecką, ale w innych znacznie się od niej oddala. Zasadniczą różnicę jaszkrawo maluje pewien obrazek z życia Berlina. Natychmiast po wejściu do stolicy Niemiec Rosjanie nakazali uruchomienie niemieckiego szkolnictwa niższych stopni. Jeden z wyższych oficerów sowieckich miał wówczas przemówić do niemieckiej delegacji nauczycielskiej tak: „Jeśli potrzebujecie budynków szkolnych, to naprawcie je; jeśli potrzeba wam nauczycieli — wyszukajcie ich; potrzebne wam są podręczniki — zatroszczone się o nie. Uczcie młodzież czego chcecie, ale my będziemy się wam przyglądać. I biada wam, jeśli znajdziemy w waszych szkołach to, co nam nie odpowiada, albowiem jesteśmy zdecydowani zrobić wszystko, aby generacja, która zaczyna właśnie dzisiaj chodzić do szkoły nie napadła na nas za lat dwadzieścia”.

### Szkoły uruchomiono.

W swoim sektorze Berlina, Amerykanie nie zdążyli uruchomić niższego szkolnictwa przed Bożym Narodzeniem. Nie było to ani wynikiem ich lenistwa, ani niemożliwością rozeznania się w zastanych stosunkach. Po prostu brakło odpowiednich sił nauczycielskich, brakło odpowiednich podręczników. Ostatecznie młodzież, pozabawiona przez rok blisko szkoły i środowiska wychowawczego uległa dalszemu rozprężeniu.

Od innej strony rozpoczęli swój „rząd niemieckich dusz” Amerykanie, od innej — władze radzieckie. Z inną perspektywą patrzą na nie jedni okupanci, z inną — drudzy. Rosjanie każą Niemcom działać oświadczać, że pozostaną w tym kraju dostatecznie długo, aby odzyskać naród niemiecki od wszelkich prób sabotażu i okłaniania zwycięzców. Przy czym główny nacisk kładą na ekonomię, a nie na politykę i pedagogikę. Amerykanie zabierają się z pasją do wyplenienia zastanego zła i usiłują jak najszybciej stworzyć zdrowe pod stawy pod demokratyczną przyszłość Niemiec. Ameryka znudzona jest wojną, cóż dopiero mówić o okupacji, mającej trwać lat dziesięć czy nawet dwadzieścia. To, że najważniejsze jest dla nich słowo: jak najszybciej, zmniejszyć musi entuzjazm obserwatorów dotychczasowych osiągnięć zarządu amerykańskiego do minimum. A osiągnięcia te przecież istnieją.

W żadnej chyba strefie okupacyjnej z sowiecką włącznie nie przeprowadzono tak drastycznie i radykalnie jak w strefie amerykańskiej denazyfikacji życia niemieckiego. Słowa następcy generała Eisenhowera, generała Mc Narveya: „Postać nowiśmy, aby byli członkami NSDAP zostali co najwyżej dniówkowymi robotnikami” nie należą do rzędu niezrealizowanych poróżek. Wymieciono południowy zachód Niemiec bardzo dokładnie, mimo, że życie gospodarcze tej strefy doznało wskutek tego znacznych zakłóceń. Pierwszy nieodzowny warunek budowy nowych Niemiec został spełniony. Na materiał ludzki, który pozostał patrzy się jak na swoistą tabulę rasa, na której można wypisać wszystko co się zechce. Tutaj zrobiłi Amerykanie pierwszy krok, snadnie mocacy zwichnąć wszystkie ich wychowawcze uśłowianka. Było nim zajęcie stanowiska, że uznając zbrodniczość i szkodliwość hitleryzmu, nie są przecież rasistami i nie mogą uznawać całego narodu za dziedzicznie obciążony przestępczymi instynktami. Tymczasem zachowanie podejrzliwości wobec wszelkiego Niemca — co nie jest wcale rasizmem, a owocem długotrwałych doświadczeń Europy — jest nieodzownym warunkiem udania się wszelkich eksperymentów wychowawczych.

W stosunku Amerykanów do Niemców utrwalił się na wstępie filozoficzny — sentymentalny optymizm, tak charakterystyczny dla wielu doktryn, wyrosłych z cywilizacji Nowego Świata. Składa się nań obok wiary naiwnej w wszechmocną siłę wychowania i w dobro natury ludzkiej. Liberalizm polityczny i gospodarczy. Ludzie nie mogą być z natury źli, jeśli popełnili złe uczynki, demonstracja demokratycznych ideałów nawróci ich szybko. Pedagogika, technologia społeczna, czy swoista amerykańska terapia społeczna, mają odrobić wszystkie zalecości i wyrównać wszystkie ścieżki. Wobec przwiecia podziału na nazich i porządnych Niemców, intryzacja demokracji w Niemczech, w następstwie dokładnej denazyfikacji, nie powinna być — sądzi Military Government — tak trudna. Wszak tylko osiem milionów (z rodzinami czyni to co prawda dwadzieścia pięć milionów) Niemców należało do partii hitlerowskiej.

Military Government nie chce działać w próżni i chętnie oparł się na tych kołach, którym obcy był grzech hitleryzmu. Z niechęcią do wszelkiego radykalizmu oparli się Amerykanie przede wszystkim na tych grupach, które przed przewrotem tworzyły katolickie centrum. Wieksość tek w gabinetach Bawarii, Hesji i Wirtembergii otrzymali w lecie, z nominacji, centrowcy.

Partner okazał charakter niezuośnie oczekiwany przez mocodawców. Bardzo szybko uzwiął grunt pod nogami i zaczął myśleć własnymi kategoriami, a raczej powrócić do dawnych narowów. O tym, że były to kategorie wszechniemców i Hugenhberga przekonał się Amerykanie dopiero na pewnym okresie czasu. Wszędzie wskazywało na to, że uświadamiają sobie wyniki z tego dla ich planów wychowawczych komunkacje znacznie wolniej niżby należało. Program katolickich i liberalnych centrowców niemieckich nie jest skomplikowany i przemawia do rozumu i serca każdego Niemca. „Winni drugie wojny światowej siedzą na ławie oskarżonych w Norymberdze i ostatecznie można

ich powiesić. Naród niemiecki natomiast dość się macierpiał wskutek niepomysłnych kolej wojny, aby zmuszać go było wolno do dalszej pokuty. Politycznie i gospodarczo należy restaurować stan sprzed 30 stycznia 1933 roku i pohamować wszelkie zapędy komunistów i socjalistów, plotących brednie o zbiorowej odpowiedzialności i żądających jakichś reform społecznych”. Wojna centrum z lewicą niemiecką na południowym zachodzie trwa, jak za dawnych, dobrych, przedhitlerowskich czasów. Lewica przegrała jej pierwsze stadium, o czym mówią wyniki wyborów gminnych w trzech krajach strefy amerykańskiej i próbnego wyboru w kilku miastach strefy brytyjskiej. Nie mogła go wygrać wobec niepopularności swych programów w dołach i przy braku poparcia ze strony Military Government, które ingeruje w życie polityczne swej strefy tylko w wypadku pojawienia się na widnokręgu jakichś pogrobowców NSDAP.

Realizację następnego punktu polityki okupacyjnej — „economic disarmament” powinna nam gwarantować w pewnym stopniu obawa Ameryki przed tak dającą się we znaki w okresie międzywojennym konkurencją przemysłu niemieckiego na rynkach światowych. Rozpamiętywaniu tych, bolesnych dla Ameryki, niedawnych spraw poświęca się wiele miejsca w prasie i w książkach amerykańskich. Rozbrojenie ekonomiczne tej części Niemiec musi mieć inne niż na wschodzie oblicze wobec różnic w strukturze gospodarczej. Ale jakkolwiek problemy przemysłowe są najwazniejsze, zapominać nie wolno o przebudowie i innych dziedzin gospodarki niemieckiej. Tymczasem poza demontowaniem pewnych podstawowych zakładów przemysłowych nie wiele się tu dzieje zgodnie bowiem z ramami, jakie wyznaczył sobie Military Government, reforma rolna i gospodarki przemysłowej pokojowej to kwestie, o których decydować będą niemieccy demokraci sami. Stąd też rozbrojenie ekonomiczne posuwa się tutaj znacznie powolniej niż na wschodzie, chociaż szybkość znacznie niż na północy, w strefie agieleckiej.

„Musimy wychować nowe Niemcy — twierdzą Amerykanie. Nie może się nam to nie udać, bo inaczej znowu będziemy musieli powrócić pewnego dnia do Europy”. I tutaj dopiero pojawiają się prawdziwe trudności, wręczające łatwą możliwość katastrofy. Albowiem wychowywać nowe pokolenie, czy nauczać tych, którzy stosunkowo lekko przeszli hitlerowską epidemię i nie ma kto i nie bardzo wiadomo jak to robić. Sprawa się przewleka jak w wypadku berlińskich szkół, a czas i żołnierze armii okupacyjnej naglą. Poza stadium przygotowawcze nigdzie jeszcze nie wyszło, zwłaszcza, że wychowawcy i wychowywani używając tych samych słów i terminów, w gruncie rzeczy myślą o różnych rzeczach. To też ostatnim, rozsuwanym przez generała Claya, zastępcę dowódcy wojsk okupacyjnych Mc Narveya, perspektywom i planom na najbliższe lat dwa zarzucać wolno chorobliwy optymizm. Tempo rozdawania świadectw dojrzałości politycznej i gospodarczej demokratycznym Niemcom jest za szybko. Jakże łatwo popaść do wszystkiego dobre, co zrobiono na południowym zachodzie w ciągu jesieni i zimy z dużym — trudno nie przyznać — nakładem energii i dobrej woli. Okupacyjni sąsiedzi z północy — Anglicy, nie bez domieszki „Schadenfreude” oczekują i prorokują wierzącym w siebie i swe metody Amerykanom, wiele rozczarowań.

### III.

Dziekan katedry św. Pawła w Londynie, W. R. Inge, głośny publicysta i autor szeroko czytanej w latach międzywojennych książki o współczesnej Anglii pisał w niej, że na humanitaryzm pozwolił sobie mogą tylko państwa o nieograniczonej przez nikogo potęgę i że w epoce wiktoriańskiej Wielka Brytania pozwoliła sobie kilka razy na ten luksus. Dziekan Inge odbył przed kilku tygodniami wycieczkę po Niemczech i owocem tej podróży była seria artykułów w prasie londyńskiej, pełnych głębokiego współczucia dla cierpiącego po strasznej wojnie narodu niemieckiego. Dzisiejszy humanitaryzm angielski go dostojnika kościoła i rzecznika opinii szerokiej kół angielskich nabiera niestety posmaku interesowności, skoro pamięta się o tym, że już przed dwunastu laty dziekan Inge oświadczał, że Wielka Brytania minęła szczytowy punkt swej potęgi w czasach Edwarda VII.

Dwa źródła ma ten humanitaryzm — jednym z nich jest swoista analiza genezy hitleryzmu i przyczyn drugiej wojny światowej, drugim — doraźne cele polityczne Wielkiej Brytanii, dla której problemy

europajskie wciąż jeszcze sprowadzają się do wyboru między Niemcami i Rosją. Jest niebezpieczeństwem wszystkich bezpośrednich sąsiadów Niemiec, że zarówno owa analiza jak i doraźne cele polityczne W. Brytanii kolidują zupełnie wyraźnie z ich doświadczeniami i najżywniejszymi interesami. Stąd też wynika wyraźna różnica zdań w sprawie sposobów rozwiązania problemu niemieckiego zarówno w Radzie Międzynarodowej jak i między mniejszymi sąsiadami Niemiec a Wielką Brytanią.

Zdaniem angielskim, pojawienie się i popularność hitleryzmu w międzywojennych Niemczech zostały zawinione przez zwycięskich sygnatariuszy Wersalu, którzy nakładając na Niemcy ciężkie obowiązki do spełnienia, uniemożliwiły pokojowy i prawidłowy rozwój demokratycznej weimarskiej republiki. Główną winę za to ponosić ma przede wszystkim Francja i dzisiejsi angielscy wychowawcy Niemiec, nie mogą jej darować interwencji w Zagłębiu Ruhry w roku 1923. Oto swolasty komentarz do Wersalu, który według zgodnej opinii całej pozostałej Europy, nie udało się, bo nie stała za nim żadna jednolita siła, mogąca realizować jego postanowienie.

Ponieważ — zdaniem Anglików — hitleryzm był gestem obronnym głodnych i zrujnowanych Niemców, więc dzisiaj, nim rozpocznie się wychowywanie Niemców, należy ich przedtem nakarmić. „Fulfill the stomach before the mind” — nakarm, zanim zaczniesz wychowywać — oto, jak należy zabrać się do problemu wychowania narodu, który nie karmił podbitej Europy, a wychowywał ją w obozach koncentracyjnych. Jesienna „Aktion Storch” w Berlinie, angielska Kinderlandverschickung dla niemieckich dzieci ma właśnie naprawiać błędy Wersalu. Naprawiać je mają także ewentualne transporty żywności dla Niemiec, zdobyte przez dalsze ograniczenia w Anglii (dyskutuje się całkiem poważnie tę sprawę w prasie brytyjskiej). Kiedy przed kilku tygodniami zaalarmowano opinię brytyjską możliwością wybuchu epidemii w Niemczech i wzrostu śmiertelności z głodu, chętnie używano obrazowego powiedzenia — „they can't starve to death”. Rzecz dziwna, że prasa w samych Niemczech mniej znacznie miejsca poświęcała i poświęca tym apokaliptycznym obrazom pierwszej po hitlerowskiej zimy, a widze lokalne wykazują, że wiesz niemiecka żyje nie gorzej niż przed kapitulacją, a w miastach ludzie nie padają na ulicach z głodu.

„Jeśli nie chcemy, aby Niemcy wymarli na tyfus głodowy, bądź, aby narodził się wśród nich nowy Hitler, musimy zapobiec wszelkim zaburzeniom w ich życiu gospodarczym” — oto wniosek wyciągnięty przez Anglików z historii byłej Trzeciej Rzeszy. Wszelkie gwałtowne reformy, a także szybka denazyfikacja niemieckiego życia publicznego mogą spowodować takie zaburzenia. Oto odpowiedź brytyjskich władz okupacyjnych na zarzuty, że w samorządzie i w życiu gospodarczym strefy angielskiej biorą udział ludzie o bardzo podejrzanej przeszłości politycznej. Na wszelkie zarzuty odpowiada się po prostu — nazi są rzeczywistością, ale nie ma ich kim chwilowo zastąpić. Dwie można było tylko wybrać drogi do rządzenia nimi — surową okupację wojskową, bez oglądania się na samych Niemców, (zrobiła to Francja) bądź powołanie do współpracy niemieckich antyfaszystów, zażywszy że jak w strefie radzieckiej będzie się im uważnie patrzeć na ręce. Anglicy wybrali trzecią drogę: oddali samorząd i życie gospodarcze swej strefy w ręce zawodowego stanu urzędniczego, izb przemysłowych i handlowych, kościółów i członków byłego korpusu oficerskiego, a więc tych warstw, które przeżyły czasy pogardy co najmniej w cichej symbiozie z hitleryzmem. W ten sposób, stara niemiecka biurokracja, wymieciona dość dokładnie przez Rosjan, przesiana przez sito denazyfikacji przez Amerykan, utrzymała się w stosunkowo nienaruszonym stanie w strefie brytyjskiej, co oburza nawet rozsądnych Anglików („Tribune” 21.12.45.). Ta biurokracja niemiecka — twierdzą Anglicy — pozabawiona jest wszelkiego oblicza politycznego. Nawet, gdyby tak było rzeczywistość, jej przynależność klasowa obiecuje jak najlepsze doświadczenia w przyszłości. Istniejące w formie zaczątkowej życie polityczne powstrzymywane jest starannie od udziału w samorządzie, zgodnie z brytyjskimi tradycjami przeniesionymi na kontynent, a oddzielającymi warstwę urzędników administracyjnych od tworzącej ciało doradcze warstwy czynnych polityków.

Krok ten podyktowany został rzekomo nie tylko wiarą w doskonałość politycznych urządzeń brytyjskich, ale nieufnością wobec „demokracji niemieckiej”. Efekt jego jest o tyle niesczekiwany, że

o ile w strefie radzieckiej w samorządzie terytorialnym i gospodarczym tej wiedzy lewica, a u Amerykan chrześcijańskie ceo trum, to u najbardziej nieufnych wobec demokracji niemieckiej Anglików apolityczni sędziowie niemieccy kolportują sze roko memoranda w obronie nazich dobrej wiary, a w policji w Bremie widuje się te same co dawniej twarze. Cytowany przez jakiś dziennik angielski list póra urzędnika brytyjskiej władz okupacyjnych w Niemczech, donoszący byłemu więźniowi Orantenburga i Dachau, że nie może być zatrudniony w służbie administracyjnej ze względu na swą przeszłość polityczną — jest autentyczny.

Dalszym prostowaniem błędów Wersalu jest opozycja wobec innych okupantów w Radzie Międzynarodowej w sprawach zmniejszenia potencjału gospodarczego Niemiec poniżej poziomu z roku 1933. Spór o Zagłębie Ruhry i o wysokość produkcji stali, to fragmenty tej batalii, w której Anglicy reprezentują zdanie, że Niemcy muszą produkować, aby mieć za co sprowadzać potrzebną przedindustrializowanemu krajowi żywność. Klasyczne powersalskie błędne koło, kiedy kapitalistyczny zachód finansował rozbudowę przemysłu niemieckiego w celu uzyskania sum reparacyjnych, wydaje się powtarzać w nieco zmienionej okolicznościach formie po raz drugi w ciągu jednego pokolenia. Jakżeż inaczej wygląda angielskie myślenie ekonomiczne odnośnie przyszłości Niemiec od ekonomii, którą zastosowano tak skutecznie na wschodzie okupowanego kraju. Stąd też właściwie żadna z reform gospodarczych i społecznych na północnym zachodzie nie została wprowadzona w życie. Wydaje się, że przeciwny urzędnik brytyjskich władz okupacyjnych myśli prawie tak jak niemieccy centrowcy: „Naród niemiecki dość się wycierpiał w czasie wojny, aby unieszczęśliwić go dalej”.

Zadania okupacyjne sprowadzają się tedy tylko do dokładnej kontroli niemieckiej gospodarki. Wystarczy jednak zapoznać się z ściśle teoretycznymi rozważaniami angielskich ekspertów nad formami tej kontroli, aby stwierdzić, jak wielki i doskonale funkcjonujący aparat jest tu potrzebny. Brak go dotąd i nie wiele jest znaków na niebie, aby go przygotowywano w należytych rozmiarach.

Tymczasem tempo w jakim przemysł niemiecki na zachodzie Niemiec powraca do zdrowia i normalnych możliwości produkcyjnych, jest niepokojące. Jego przyszłość zależy od tego, w jakim stopniu traktuje się poważnie nad Tamizą, a także i w Waszyngtonie, ostatnie przedkapitulacyjne polecenia Alberta Speera, który 29 marca 1945 roku miał oświadczyć przemysłowcom niemieckim — my przegraliśmy wojnę militarnie, ale wy nie możecie jej przegrać na terenie przemysłowym”.

### IV.

O tym jak Francja zachowa się wobec pokonanych Niemców mogą dowiedzieć się każdy z mieszkańców Berlina latem ubiegłego roku. Z wielkich plakatów, rozlepionych w obsadzonych przez Francuzów dzielnicach miasta, jeden z francuskich generałów głosił: „Francja nigdy nie zapomni Niemcom setek tysięcy jej wymordowanych obywateli”.

Mocodawcy generała de Beauchesne dotrzymali słowa. Badenia i Zagłębie Saary trzymane są przez Francuzów ostrzej w rzytach niż dzieje się to w innych strefach. Przybywający stamtąd Niemcy nie ukrywają swego niezadowolonia. Okupant francuski jest prawdziwym okupantem. Teoretyczne rozważania nad drogami wychowania Niemiec nie przeszkadzają wcale temu, że po ulicach uroczych miasteczek nadreńskich dość ostentacyjnie marszerują w ciężko podkutych butach patrol francuskie z bagnietami na broni.

„Jest ciężko — powiada dziennikarz niemiecki z Baden-Baden, spotkany w hamburskiej piwiarni — dużo pracy, mało nadziei. Przydziały żywności skromnifutkie, brak chleba, mięsa i wina, bez którego trudno jest żyć Nadreńczykom. Francuzów niewiele to obchodzi. A najgorsze, że nie mają do nas za grosz zaufania. Nawet do antyfaszystów. Wcale nie sprzyjają nowemu, demokratycznemu życiu politycznemu, wskutek czego nieliczne komórki Antifę (jednej — zdaje się — organizacji politycznej w strefie francuskiej), prowadzą suchotniczy żywot. Przemysł w Saarze obsadzony został dokładnie przez wojska, które zaglądają nieledwie w kieszenie inżynierom i robotnikom. Chyba go rzej tu niż na wschodzie. Nie widać oznak poprawy, tak jakby wojna wciąż jeszcze trwała”.

A tymczasem wojnę toczy wojskowy zarząd francuski tylko z jedną częścią ludności swojej strefy — z byłą elitą partyjną, jak najszerszej pojętą. Tej w żadnym wypadku wychowywać nie zamierza, chyba, że wychowaniem nazwiemy pobyt w obozach odosobnienia, którymi opiekują się dawni członkowie francuskiego ruchu oporu — byli więźniowie niemieckich obozów. Zgodnie ze słowami generała de Beaulieu Francja nie jest skłonna wybaczyć Niemcom ich postępów. A ponieważ nie podpisywała uchwał poczdamskich przeto uważa się także za zwolnic-

zą od bezwzględnej im posłuszeństwa i trwa w permanentnej opozycji w Radzie Międzynarodowej wobec punktu uchwał, mówiącego o jedności gospodarczej Niemiec.

Patrzę na to, co się dzieje w Niemczech z poważnym niepokojem — powiedział mi w Hanowerze człowiek, który sześć lat spędził w Oranienburgu i Dachau, jeden z niewielu rzeczywiście uczciwych Niemców. Bo jakkolwiek nie słyszy się już dzięki kafeonii dźwięków, będącej

efektem pierwszych miesięcy pobytu alian-tów w Niemczech, kiedy grano na kilku-dziesiątych instrumentach naraz, to stan-dzisiejszy nazwałbym grą na czterech fortepianach. Co najmniej na jednym z nich — ustawionym między Hanowerem i Akwizgranem ćwiczy się melodie, najzu-piej różną od pozostałych. Bo jeśli uznamy, że podcięto korzenie imperializmowi i faszystowskiemu niemieckiemu na wschodzie i u Francuzów, jeśli Ameryka-nom, łatwo zresztą uczącym się na włas-nych błędach, trzeba tylko wyperswado-wać optymizm wychowawczy i wiarę w

samoczynność demokracji w Niemczech, to na północnym zachodzie należałoby wszystko zacząć od początku. Któż prze-kona muzyka, grającego na czwartym fortepianie, że jest to nieodzowne. Złe było-by, aby przekonać go potrafili dopiero sy-nowie Rummelów i Brauchitschów, którzy w tym roku wstąpiłi na uniwersytety i za-lat dziesięć gotowi będą przejąć dziedzic-two ojców.

Wolno nam chyba dzielić niepokój me-go hanowerskiego rozmówcy.

Mieczysław Wjoneczek

## Dyskusja o inteligencji (II) \*)

K. W. ZAWODZIŃSKI

# W sprawie genealogii inteligencji polskiej

### MYLNA LEGENDA

Czytając rozważania prof. J. Chalasińskiego o inteligencji polskiej („Kuznica” Nr 22), mogłem tylko stwierdzić jak słusznie, pisząc o Dąbrowskiej, Prusie czy Kraszewskim lub o początkach emancypacji ko-biet, czy rozmyślając o staropolskim czytelniku poezji, domagałem się od historyków czy socjologów naszych opracowania dzieł tej bezstanowej warstwy „pracowników umysłowych” w szerokim słowa sensie, od której charakteru i aktywności zależy w największej mierze rozwój kultury narodowej. Nie do niej wprawdzie, do nie-dawnych stosunkowo czasów należało kierownictwo życia gospodarczym, wobec wielkiej własności w stosunkach agrarnych, a rozdrobnienia między warsztaty rzemieślnicze produkcji przemysłowej lub jej dawniejszego odpowiednika, w niewielkim też stopniu, w ustrojach monarchicz-nych jak i oligarchicznych, wpływała ona na bieg polityki. Z niej jednak, z inte-ligencji rekrutują się, w przeważnej części, wytwórcy dóbr duchowych: ludzie nauki, sztuki, literatury; w jeszcze większym stopniu, zwłaszcza jeśli chodzi o literaturę, stanowiła i stanowi ona gros rzeszy konsumentów tych dóbr. Otóż, jeśli chodzi o inteligencję polską, utarło się, sta-ło się komunałem, bał aksjomatem, nie podlegającym wątpliwościom i nie wyma-gającym dowodów, przekonanie o jej prawie wyłącznie szlacheckim pochodzeniu, stanowiącym rzekomo jej specyficzność w stosunku do analogicznych warstw w in-nych społeczeństwach. Długoletnie prospetowanie tego dogmatu tłumaczy się, wobec braku sprzeciwu ze strony źródłowych o-pracowań, prostym snobizmem jego wy-znaczców, składających jednocześnie sro-dowisko kształtujące opinię powszechną; stanowiąc jakby powszechną nobilitację warstwy, zwanej inteligencją. Zwłaszcza wobec rozpowszechnienia nazwisk na „ski”, uważanych za pewną oznakę szla-checkiego pochodzenia (np. Telefoński, Ostoja-Telefoński brzmi bardzo nobilitnie) w przeciwstawieniu do odczuwanych — przy liwej erudycji ogółu w heraldyce — jako plebejskie, nazwisk typu Smolik i Za-dzik, Czyż i Koc, Sławek i Wiktor, Borowy i Biały — ogromna większość inteligentów mogła się przedstawiać jako „wysadzona z siodła” szlachta i tym samym podnosząc się we własnych oczach, utrwaląc jedno-cześnie nieatakowaną przez nikogo legen-dę. Tymczasem, w świetle nawet niewielu dostępnych mi, jako nie specjaliste od dziejów społecznych Polski, faktów, rzeczy-wista geneza inteligencji polskiej przedsta-wia się całkiem inaczej.

### RZECZYWISTOŚĆ DZIEJOWA INTELI-GENCJI POLSKIEJ

Żeby nie cofać się za daleko w prze-szłość, nie będę przypominał tak dobrze znanych rzeczy jak rola duchowieństwa w genezie każdej nowoeuropejskiej kultury, specjalnie naszej i środowiska clerów ja-ko pierwszej komórki inteligencji. Nie będę też rozwijał, dającą się łatwo udowod-nić, tezy o niezbędności większego skupi-ska ludzi, więc miasta, a przynajmniej dworu królewskiego, kurii biskupiej albo lud-nego klasztoru, dla powstania kultury ja-kiegokolwiek narodu w nowoczesnym po-jęciu i jego warstwy kulturalnej i w dzie-dzinie kultury twórczej, więc nadającej charakter życiu duchowemu narodu (o co prof. Chalasińskiemu przecież chodziło). Postaram się tylko naszkicować stan rze-

czy w momencie, który nie bez słuszności uważany jest za złoty okres kultury staro-polskiej, a już bez wątpienia jest momen-tem określającym jej specyficzny charakter i drogi rozwojowe wciąż bardziej dominu-jącego „sarmatyzmu”, choć może jeszcze z tym pejoratywnym pojęciem nie identyczny. Myślę tu o drugiej połowie XVI w., epoce działalności Kochanowskiego, gdy stabilizuje się wszechwładza polityczna i spo-łeczna szlachty i jej takie uprzywilejowanie w dziedzinie gospodarczej, że zupełny upa-dek ekonomiczny innych stanów, przede-wszystkiem mieszczaństwa, jest nieuniknio-ny. Jakż wóczas jest skład i oblicze inte-ligencji polskiej?

Możemy o tym sądzić z uśmieśniętelnego we Fraszkach Kochanowskiego o-brazu jego środowiska. Sam poeta jest szlachcicem i to nie było szaraczkiem i po ojcu, którego rodzina wystara się kiedyś o tytuł hrabiowski i po matce Białaczowskiej, której rodu niedawna (bo trwa jeszcze epoka tworzenia nazwisk od posiadłości) za-możność możemy sądzić z niezbyt odleg-ego od rodzinnych stron poety Białaczowa, (w przyszłości jednej z głównych podstaw magnackich fortuny Małachowskich, w XIX wieku i do ostatniej wojny stanowiącego la-tyfundium jednej, zasłużonej kulturze pol-skiej choćby Rapperswilem, gęstą Plate-rów). Sam jest też ziemianinem i, pomimo rozdrobnienia dziedzictwa w ostatnich przed nim generacjach, posiada solidną je-szcze bazę ekonomiczną w lanach czarno-leskich. Ale nie mieszka na wsi przez znaczną część życia i nie można mu odmówić tytułu członka inteligencji ówczesnej, nie tylko ze względu na poziom umysłowy, ale na-wet rozpatrując ją jako warstwę, jako u-grupowanie społeczne, więc ograniczając ją do „inteligencji pracującej”. Nie mó-wiąc już, że jest sekretarzem J.K. Mości, a tym samym należy do urzędników, którzy przecież stanowią i dziś poważną część inteligencji w szerokim słowa znaczeniu kształci się on i pisze nie bez celu zarob-kowego, choćby w formie uzyskania przy-chylności tego czy innego mecenasa, kste-cia Pruskiego czy biskupa krakowskiego. W tych zajęciach odcina się od „ziemiań-stwa” i sam mu się przeciwstawia. Środowisko, w którym żyje tworząc „Fraszki” nie jest ani ziemiańskie, ani nacechowane kastowością szlachecką. To kulturalne mie-szczaństwo spolszczonego wówczas wła-snie Krakowa: księgarze - wydawcy, leka-rze, profesorowie, wyształceni księża, uczeni cudzoziemcy (jak doktor - Hiszpan). A obok zastęp dworzan królewskich, któ-rych kondycja, jako odmienna od ziemiań-skiej, przedstawia w wierszu makaronicz-nym. Słowem istnieje za jego czasów „inte-ligencja”, jako żywe środowisko, jako war-stwa, niezależnie od szlachty ziemiańskiej. Potwierdza to pobieżny choćby przegląd literatury ówczesnej. Niewątpliwie, lub do-mniemanie, mieszczańskiego pochodzenia są: Frycz-Modrzewski, Łukasz Górnicki, Kłonowicz, Szymonowicz, Skarga, Birkow-ski, pisarze „Złotego wieku”. Tak samo póź-niej, pomimo upadku i zniszczenia miast przez klęski „Potopu”: Gawiński, Zimoro-wicz, a nawet ostatni znakomitszy z typo-wych poetów „sarmackich” — Chrościński jeszcze przed nobilitacją sekretarz królew-ski. W tej więc warstwie wartości umysło-wych kastowość herbowa była mniejsza niż w innych, przechodzenie do rządu „sy-nów koronnych” łatwiejsze, choć i gdzie indziej, np. w wojsku, wyłączność szlachecka nie była tak absolutna, jak to się na pierwszym rzut oka wydaje. Przegląd dzieł-jów sztuki polskiej, muzyki i malarstwa (jako bardziej zbliżonych do „rzemiosła”

w ówczesnym pojęciu) ukazały jeszcze większy odsetek plebejusów, przewagę ich, bodaj wyłączność. To też Kraszewski, wielki znawca przeszłości polskiej, pisarz-realista, a zarazem erudyta-historyk i szpe-racz archiwalny, dający przebogaty mate-riał do dziejów społecznych Polski, obda-rzony ponadto wybitną, nieodłączną od swych zalet powieściopisarza, intuicją i trafną wyobraźnią w zakresie stosunków społecznych, w ogóle, a zwłaszcza w powie-ściach „współczesnych” i powieściach na-tle XVIII w., bliższego mu z tradycji ro-dzinnej, nie bez racji czyni reprezentantem malarstwa rodzimego w epoce Stanisła-wowskiej syna chłopskiego (Sfinks) lub mieszczańskiego (Król i Bondarywa), o-raz przedstawia niewiarogodną karierę grafomana, wznoszącego się w tej epoce z dółów społecznych aż do arystokracji (ka-wał literata). W szeregu jego utworów przedstawiających z autopsji, lub z najpe-wniejszych przekazów obraz społeczeństwa polskiego w ciągu stu lat (od ostatniej ćwierci XVIII w. do 1880 r. przynajmniej) znajdujemy wiele awansów społecznych, bardzo sprzecznych z popoptymny wyobra-żeniami o kastowości szlacheckiej. Nawet uczone lekarz wyrastający z pańszczyźnia-nego wołyńskiego chłopca (Ostap Bondar-czuk), jakkolwiek mało prawdopodobny i wyglądający na niedostatecznie ożywione-go „robota” ówczesnej ideologii Krasze-wskiego, nie mógł być u pisarza realisty zu-pełnie pozbawiony oparcia o rzeczywistość społeczną. Niech nawet ten czy inny wy-szczególniony przypadek będzie niemiara-rodajnym dla powszechnych stosunków wyjątkiem; znamy przecież niewątpliwie i najogólniejszej natury fakty, stwierdzające istnienie warstwy inteligentnej zanim można mówić o występowaniu późnego do-syć, zwłaszcza w po powstaniu styczni-o-wym typowego zjawiska — przechodzenia szlachty ziemiańskiej w szereg inteligencji „zawodowej”. Proces ten istniał i dawniej; ale nie był jedynym sposobem rekrutacji inteligenta. Pomijając takie źródła pomno-żenia inteligencji jak spolszczenie się osia-dłych w miastach cudzoziemców, wnoszą-cych częstokroć wielki kapitał wyniesionej z dawnej ojczyzny wysokiej kultury umy-słowej, jak i niedość wyjaśniona co do spo-sobu i trudno dająca się ująć liczbowo (wskutek fałszywego wstydu potomków) asymilacja Żydów (naprzód neofitów, po-tem w pierwszym okresie masową franki-stów, potem znów masową wskutek zwycięstwa tendencji asymilatorskich na szczy-tach gminy żydowskiej, Polaków wyznania moźeszowego), nie można nie zwrócić u-wagi na pewne zawody, które choć obsłu-giwane wyłącznie lub prawie wyłącznie przez szlachtę, włączały pewne jej części trwale w szereg inteligencji pracującej i w skład ludności miejskiej (a wemy coś przecież o nieodwracalności procesu urba-nizacji zaludnienia). Tu na pierwszym miej-scu należy wymienić palestrę, której przed-stawiciele, rozsiadli po miastach i miastecz-kach całej Polski, skupiali się poza tym i na-dawali charakter miastom trybunalskim, jak Lublin i Piotrków. W dziejach inte-ligencji polskiej grupa zawodowa specjalnie ważna, z jednej strony złączona z całym wszechwładnym w Rzeczypospolitej sta-nem szlacheckim, z drugiej już wyrzucona z gruntu i wrośnięta w życie miejskie. Oprócz niej, pomimo nader słabego rozwo-ju aparatu państwowego dawnej Polski, istnieli wszakże jacyś kanceliści, choćby ur-zzędów podskarbińskich i starościńskich, vegetujących w permanencji, mimo że nie zawsze dających dostateczne znaki życia. Niektórzy z tytułarnych na ogół urzędników

szlacheckich ziemskich musieli przecież u-rzędować faktycznie np. komornicy i po-siadać odpowiednie dla „jeometrów” wy-kształcenie fachowe; nie możemy ich wy-rzucić poza nawias „Inteligencji pracującej”, choćbyśmy tego tytułu odmówili tym skromnym, jednofolwarczym posesjona-łom, którzy tylko skrzętnością i ciężką od-światą do nocy pracą przy gospodarstwie utrzymywali się na powierzchni i zdoby-wali środki na wykształcenie dzieci. Ale już tylko ze swej umysłowej pracy, nie z potu poddanych żyli wyżsi „oficjaliści” wię-kszych dóbr, rządowscy i rachmistrze. W ciągu XIX w. z rosnącym uprzemysłowie-niem rolnictwa, zwłaszcza na Wołyniu, U-krainie i Podolu ci „prywatni urzędnicy” administracji majątków i cukrowni, stano-wili główny trzon inteligencji polskiej w tych prowincjach.

A i dawniej nie sami rezydenci, dworza-nie i pokojowcy skupiali się przy dworach wielkopańskich; najwięksi magnaci, jak Radziwiłłowie nieświszcy, utrzymywali nie tylko własne wojsko, lecz i własny aparat biurokratyczny i później jeszcze Syrokomla np. zaczął w ich kancelariach swą pracę za-robkową, tak typową dla owych czasów. Wspomnieliśmy przed chwilą wojsko. Mo-żna być pacyfistą i antimilitarystą, a jed-nak nie sposób zaprzeczać, że oficer zawo-dowy jest inteligentem zarobkującym dzie-łki specjalnemu wykształceniu. Wojsko da-wniej Rzeczypospolitej było wprawdzie, jak wiadomo, bardzo nieliczne, ale przecież istniało, i pomijając nawet anachroniczny w swej organizacji „autorament narodo-woj”, szlachecką kawalerię z jej tytułarnymi, praktycznie biorąc, oficerami i „towa-rzystwem”, należy zwrócić uwagę na od-działy piechoty i artylerii „cudzoziemskie-go autoramentu”. Jego to oficerowie, zwłaszcza od epoki spolszczenia tych bro-ni, tj. od epoki Stanisławowskiej, szczegól-nie od reform Wielkiego Sejmu, oraz w póź-niejszych wojnach, w służbie rewolucyjnej Francji, stanowiły bardzo znaczne liczebnie odświeżenie zastępów inteligencji doply-wem elementu plebejskiego; nawiasem mówiąc b. radykalnego i demokratycznego ideologicznie. Wprawdzie większość z nich pochodziła już z inteligencji mie-szczańskiej (jeśli nie drobnej, ubogiej szlachty); a stopień oficerski u nas auto-matycznie uszlachcał, była to jednak droga awansu społecznego, nieraz bardzo znacznego: w otoczeniu konstantynopolskim Mickiewicza rzuca się w oczy typowy chłopskie nazwisko z tytułem pułkownika.

### DEGRADACJA CZY AWANS

W ogóle sprawa awansu czy degradacji społecznej przy wchodzeniu w skład inte-ligencji, oraz szerzej jeszcze biorąc, spra-wa wzajemnego stosunku tych dwóch zbio-rowskości, inteligencji i szlachty jest w na-szych warunkach bardzo skomplikowaną i swolną, choć nie tak może przeciwstawną stosunkom cudzoziemskim, jak to się po-wszechnie sądzi. Prof. Chalasiński ujmuje inteligencję miejską, przynajmniej jej głów-ną, decydującą o jej społecznym i ducho-wym obliczu, trzon, jako produkt degrada-cji ekonomicznej, społecznej i politycznej szlachty polskiej; otóż słowo „degradacja” jest tu słuszne jedynie w odniesieniu do pe-wnej i to znakomicie mniejszej części wy-padków przechodzenia z jednej zbiorowo-ści do drugiej, nie mówiąc już o tym, że jak wykazaliśmy, „trzon” inteligencji miej-skiej istniał (inna rzecz, czy zdecydował „o społecznym i duchowym obliczu cało-ści”) już w czasach, gdy jeszcze o żadnej degradacji szlachty polskiej mówić nie sposób.

\*) Por. art. J. Chalasiński „Polska w świetle swej genealogii społecznej” w Nr 4 „Kuznicy”.

Przypomnijmy osiemnastowieczną jeszcze formułę liczbową szlachty polskiej: „Dziesięć rodzin magnackich, sto — pańskich, tysiąc zamożnych rodzin szlacheckich, dziesięć tysięcy jednowioszkowych rodzin szaracków, sto tysięcy rodzin zagonowej, zaśłankowej i Innej hołoty”. Nie szukanując ścisłości tych okrągłych liczb, możemy z grubsza, na podstawie np. badań Korzona uznać dany przez nie obraz stosunków za odpowiadający rzeczywistości. A wówczas jasnym się nam staje, że tylko dla 1110 rodzin przejście do inteligencji miejskiej było degradacją społeczną i ekonomiczną, ale te wypadki wskutek mocnej bazy ekonomicznej i solidarności rodowej i kastowej były dla pierwszych 110 rodzin niemożliwe, dla następnych 1000 — nader rzadkie; te tysiąc rodzin dotrwały na swych majątkach do naszych czasów. Natomiast, nie tylko dla „hołoty” szlacheckiej, w praktyce i w miarach cudzoziemskich, równającej się warstwie wolnych osobiciście i obdarzonych (teoretycznie przy najmniej) prawami obywatelskimi chłopów, ale i dla jednowioszkowego „posesjonata” przejście do szeregów urzędniczych, oficerskich, a tym bardziej do intratnych wolnych zawodów, lekarzy, adwokatów, budowniczych itp., a z innych względów między artystów, było niewątpliwym awansem ekonomicznym i społecznym. Równało się zamianie jednostajnej, ograniczonej, twardej w swym prymitywizmie wegetacji, na życie dogodniejsze, bardziej urozmaicone, o większych możliwościach, spędzane wśród gwaru i wygod miasta. Toteż zapewnienie dzieciom wykształcenia, przygotowania się do zawodu było główną troską i największym wysiłkiem uboższego dziedzica, zanim ta warstwa nie zlikwidowała się drogą naturalną np. w Kongresówce z końcem XIX w. trwając jeszcze ze względów uczuciowo-patriotycznych w „Ziemlach Zabranych”, gdzie sprzedaż majątku wobec zakazu nabywania ziemi przez Polaków, była nieodwołalnym uszczerbkiem polskości. Ten proces przechodzenia szlachty w szereg inteligencji miejskiej, znany i charakterystyczny zwłaszcza dla drugiej połowy XIX w., choć jest niewątpliwie dawniejszy i z dostatecznymi podstawami może być rozciągnięty na wiek XVIII, niesłusznie przedstawiany jest jako skutek katastrof narodowych; jeśli o jakiej degradacji w tym procesie mówić wolno, to tylko, używając z terminologii prof. Chałasińskiego jedynie jego trzeciego przymiotnika — politycznej.

Ale w takim razie nie mamy powodu ograniczać się do stanu szlacheckiego, ale powinniśmy wciągnąć do naszych rozważań losy całego narodu, co już wychodzi poza moje zamierzenia. Streszczając się tymczasem w konkluzji musimy stwierdzić (1) odwieczne istnienie w Polsce warstwy inteligencji niezależnej od procesu przechodzenia w jej szereg jednostek ze stanu szlacheckiego oraz (2) częściowe pokrywanie się tych dwóch zbiorowości (jeśli nawet zaopatrzymy termin „inteligencja” w przymiotniki „pracująca” i „miejska”, bez których można by wciągnąć w jej szereg znaczną część ziemiaństwa i bezrolnych wieśniaków) w formie istnienia palestry i urzędników, wszędzie i poza Polską np. we Francji zaliczanych do „inteligencji”, jako jej nader ważny składnik. Stwierdziłszy również niestosowność określenia „degradacja” dla ujęcia procesu zasilenia inteligencji nowymi elementami.

#### INTELEGENCJA Z LUDU

Jeśli chodzi o „awans społeczny emancypujących się mas ludowych” to i tu, pomijając nawet wspomniane powyżej fakty z dalszej przeszłości, pisząc o tych sprawach dziś, w połowie XX w., nie należy pomijać rozpoczętego już co najmniej w ostatniej ćwierci XIX w. procesu masowego zasilenia inteligencji przez lud wiejski, (jak świadczą znakomite nazwiska zmarłych już dziś lub sędziwych profesorów wszechnie, dostojników kościoła i działaczy politycznych, Balcerów, Bujałów, Fijałków, Hlondów, Kutrzebów, Pelczarów, Witosów, że wylicze w porządku alfabetycznym kilka przychodzących do głowy, a z literatury pięknej postaci Kasprowicza, Reymonta, Orkana), zwłaszcza pod zaborem pruskim, a jeszcze bardziej austriackim. Na terenie b. Galicji przybrało to zjawisko tak masowy charakter, że nie podążał za nim proces asymilacji „towarzyskiej” do dawniejszych pokładów inteligencji, nacechowa-

nych szlacheckością kultury obywatelskiej i snobizmem szlacheckim (co jest najbardziej prawdziwą cechą w przeprowadzonej przez prof. Chałasińskiego charakterystyce tej warstwy, najbardziej zewnętrznie ludzka i najbardziej utrzymująca przy życiu fałszywą legendę genezy, którą staraliśmy się obalić): istniały tam więc wówczas niezależne do pewnego stopnia i obyczajem, a nawet językiem odmienne, dwie warstwy inteligencji: starsza, o pretensjach arystokratycznych, o języku codziennym na literackim opartym i obyczajowości kontynuującej tradycje szlacheckie, oraz młodsza, która zbyt rzadko bywała przedmiotem obserwacji i tematem powieści obyczajowej (wyjątkiem tu jest np. powieściopisarstwo Zegadłowicza), a która stanowiła masę żołnierską Legionów.

W ciągu „dwudziestolecia” proces omawiany, choć utrudniany rozmaitymi okolicznościami, nie ustawał, owszem, coraz bardziej ujawniał swe rezultaty na całej przestrzeni Polski. Dostyc przejrzeć listę oficerów zawodowych któregośkolwiek pułku, zwłaszcza piechoty, by stwierdzić niesłuszność zarzutu kastowości korpusu oficerskiego; nazwiska szlacheckie (a i one, jak powyżej zwracaliśmy uwagę, nie świadczą jeszcze o przynależności stanowej) stanowią tam znikomą mniejszość.

Piszę te słowa w osiedlu podwarszawskim, pełnym eleganckich willi i dworców; rzut oka na tabliczkę z nazwiskiem właściciela mówi tak często o jego ludowym pochodzeniu, że choć nie robiłem spisu, mogę ręczyć za przewagę „młodej” inteligencji. A przecież dzieje się to na terenie mniej silnego napięcia procesu, a za to największego rozpowszechnienia nazwisk typu szlacheckiego wśród ludu miejskiego i wiejskiego. Sam mieszkam w domu, którego właściciel, krawiec, dzieło rąk własnych, świeży wychodząca spod strzechy chłopskiej, nosi nazwisko z herbarza w najprzedniejszym gatunku. Jeśli więc przy tym dzisiejszym składzie inteligencji obciążamy ją (czy słusznie — zastanawiamy się dalej) pierworodnymi grzechami szlacheckości, to już powinno być przedmiotem ubolewania w Innej płaszczyźnie. Istotnie to wszystko, czego symbolem jest rozpowszechniające w coraz szerszych warstwach niedogodne „pan” i „pani” z trzecią osobą, a przeciw czemu zalecenia dogodniejszych form „wy”, „obywatelu” wątpliwej wydają się skuteczności daje się co krok zaobserwować w sposobie bycia i w sposobie postępowania nie tylko inteligencji, ale i warstw do tego tytułu bynajmniej nie pretendujących. Ale ubolewanie nad tymi grzechami (których nie chcę tu wylizywać, bo i za bolesne i za wiele miejsca by zajęły) wchodzi w zakres buntu przeciw determinizmowi dziejów i charakteru narodowego; byłoby czymś, jak żale poety na to, że język polski ma nieruchomy akcent i obfituje w zbliżone spółgłoski; prowadziłoby do błędnego koła rozważań, czy dlatego tacy są Polacy, że ich naród sformował się pod absolutyzmem potężniejszego niż gdzieindziej stanu szlacheckiego, czy też ten ustrój doszedł do takiej hipertrofii, — również hipertrofii wad polsko-szlacheckich — dlatego, że szlachta wyszła z narodu, którego charakter tał w sobie zarodki tych wad? Niewątpliwa odmiennosc naszej struktury społecznej ma głębokie korzenie w historii. Akurat przed niemiecką granicą zatrzymał się niszczący najazd mongolski, co postawiło w następstwie wyniszczone nasze miasto otworem przed masową kolonizacją niemiecką, zdeterminowało na dłuższy przeciąg czasu o ich obcym narodościowości charakterze. Skutkiem tego, w decydującym dla ustroju momencie, — jak wszędzie — na przełomie z wieków średnich do nowożytności najjaskrawsze odruchy politycznej energii miast: bunt Krakowa za Łokietka i Gdańska za Batorego, zostały zdławione przez władzę królewską, działającą przy aprobacie całego narodu. W konsekwencji, władza królewska, oparta tylko o jeden stan, uzależniała się coraz bardziej od niego: stąd, poza innymi, i ekonomiczne uprzywilejowanie szlachty, a tym samym upośledzenie także ekonomiczne miast, ich coraz większy upadek i patologiczny, bo jednostronny przebieg życia ekonomicznego narodu, ze wszystkimi jego fatalnymi skutkami dla potęgi państwa i jego kulturalnego rozwoju.

#### U NAS, A GDZIE INDEJ

Zawarte w powyższym skrócie, powszechnie znane rzeczy, przypominam nie tyle dla usprawiedliwienia specyficzności naszej kultury, co przeciwnie, dla podkreślenia, że pomimo nich, genealogia i skład naszej inteligencji nie są oddzielone przepaścią różnic od odpowiednich stosunków w innych społeczeństwach europejskich. Jeszcze przed paru dziesiątkami lat, wkrótce po pierwszej wojnie światowej, oponowałem (w „Przeglądzie Warszawskim” w związku z przekładem La Rochefoucauld'a) przeciw banalnemu a pogłębionemu i efektywnie sprezentowanemu przez Boya, pogładowi na literaturę francuską, jako par excellence demokratyczną, czego przyczyną miałyby być ludowe rzekomo pochodzenie większości jej twórców. Ujęcie podwójnie błędne: pomimo pewnych momentów swego oddziaływania, literatura francuska w jej najcharakterystyczniejszych objawach, jest w swej esencji, jako sztuka, nad wyraz arystokratyczna, a skład osobowy jej twórców (co zresztą nie musi stać w związku przyczynowym), co najmniej równie wysoki pod względem hierarchii społecznej, o ile wyzwolimy się spod sugestii naszego szlacheństwa, trafnie interpretując porównawczo tę przynależność stanową. Cóż z tego, że Goszczyński może się wykazać starożytnym szlacheństwem, a Teofil Gautier (z trudem wyberam współczesnego mu francuskiego poety, jak najbardziej demokratycznego pochodzenia i najbardziej „chudego literata” w swej karierze życiowej) szlachcicem nie jest? Kto z nich jest bardziej demokratą z pochodzenia, z trudnego startu życiowego, z działalności praktycznej, z ideologii społecznej, z tendencji pisarskiej, pomijając już charakter samej uprawianej sztuki?

Ale nawet tytułami mierząc, literatura francuska pomijając udział w niej wielkich panów, (od wspomnianego powyżej autora Maksym, poprzez Monteskiusza, Chateaubrianda aż do hrabiny de Noailles), wyższy niż u nas (od Opalińskich i A. Morstyna po K. H. Rostworowskiego i L. H. Morstina), jest prawie wyłącznie dziełem jednej warstwy, „noblesse de robe”, wyższej warstwy urzędniczej. Składali się na nią ludzie bądź urodzeni jako szlachta, jak Pascal, bądź uszlachceni, jak Corneille, bądź wreszcie, jeśli nie mający herbu, to posiadający za sobą długą i pewną genealogię przodków zamożnych, kulturalnych, piastujących wysokie urzędy lub oficerów odznaczonych albo padłych na polu bitwy, sami wreszcie pisząc się zwyczajem feudalnym od posiadanych majątków, jak ks. Prevost d'Exilles (a propos, skąd najnowsza u nas mania tłumaczenia tytułu abba — ksiądz, słowem „opat”, np. „opat Dellile”?). Za Trzeciej republiki nikogo się nie uszlachca, ale ta sama sfera, nie do pojęcia naszego wyniosła poziomem zamknięcia i wykształcenia, zamknięta, otwierająca się tylko tym, którzy jak przez ucho igielne przechodzą przez niesłychanie trudne szkoły (typem tu są „normaliens”) jest nadal rdzeniem inteligencji francuskiej. Na naszych dwóch hrabiów epoki romantycznej, Fredry i Krasieńskiego przypada we Francji Chateaubriand, Vigny (nie wymieniając Wiktora Hugo, hrabiego Cesarstwa), w Anglii lord Byron i Shelley, również arystokrata z rodu, nie mówiąc o udziale innych pisarzy z „gentry” (wbrew bowiem popularnemu pogładowi, ograniczającemu liczbę szlachty w Zjednoczonym Królestwie do izby lordów b. znaczna część inteligencji, zwłaszcza wśród polityków nawet lewicowych, z obecnym premierem na czele, należy do rodowej arystokracji). Równocześnie w literaturze włoskiej, w jej okresie tak rewolucyjnym, roi się od hrabiów, Alfierich i Leopardich, rezydujących wprawdzie po miastach a nie w majątkach, ale to sprawa Innej, historycznie uzasadnionej, struktury załudnienia. We dworach natomiast rodzą się i tam wracają na swoje wczasy literackie znacznie bardziej od polskich pisarzy arystokratyczni Puszkiniowie, Turgieniewowie, Tolstojowie, że trzema nazwiskami zastąpię długie wylczenie: szlachta, a najczęściej arystokracja są ideologami rewolucyjni, Radziśzczew, Czaadajew, Bakunin i Hercen, książę Krapotkin i Lenin, a nikt z tego nie robi obciążenia dziedzicznego inteligencji rosyjskiej.

#### OBOWIĄZEK SOCJOLOGI

Rozwiodłem się tak szeroko przypominając sprawy dobrze znane. To szkieletowe przeciwstawienie się zakorzenionemu prze-

sądowi nie zastąpi jednak metodycznej i odpowiednio zadokumentowanej historii inteligencji polskiej. W dziedzinie orężnej chwały dawnej Rzeczypospolitej nauka ostatnich dziesięcioleci zdołała obalić przekonanie o wyłączności szlacheckiej zasługi, stanowiące dogmat niewzruszony i długo niezaczepiany nawet przez surowych krytyków sarmackiej Polski, a w literaturze pięknej proklamowany, czy to wykrzyknikiem Krasieńskiego „tylko on! tylko on!”, czy w Innej epickiej formie — Trylogią Sienkiewicza. Natomiast zagadnienie zasług kulturalnych szlachty i jej udziału w genezie inteligencji polskiej stoi przed socjologami i dziejopisami naszymi, jako szerokie jeszcze pole działania, a oczekująca tu przeprowadzenia rewizja wydaje mi się równie nieunikniona w interesie prawdy, jak pożądana z punktu widzenia samopoczucia obejmującej rządy demokracji.

#### BŁĄD RODZI BŁĄD

Jak zaś szkodliwą jest sugestia fałszywej legendy, widać to na pracy prof. Chałasińskiego. Błędne nastawienie obserwatora pociąga za sobą błędną, jeśli już nie obserwując, to co najmniej interpretację faktów i sprzeczne z rzeczywistością wnioski. Naginanie faktów do błędnej tezy zasadniczej, najjaskrawiej uwydatnia się np. w tłumaczeniu pochodzenia biurokratyzmu galicyjskiego, którym zarażony był, z tak wielką szkodą narodu ustrój Polski międzywojennej. Autor zapomina o jego genezie austriackiej, o wspaniałym i starożytnym jego rodowodzie z kancelarii cesarskich, już na schyłku średniowiecza tak rozbudowanych, że mogły wywrzeć wpływ pożytny na całe Niemcy, także w szerokiej dziedzinie kulturalnej (m. in. por. przyjęty w germanistyce pogląd na ich rolę w unifikacji i dialektycznym zdeterminowaniu niemieckiej literackiej). Przez blisko półtora wieku zaszczeplany na kawale dawnej Rzeczypospolitej (które chyba wszystko można za rzucić, prócz grzechu stworzenia nie tylko przesadnie rozbudowanego, lecz choćby wystarczającego aparatu administracyjnego) biurokratyzm rakuski — ten sam, który zdaniem historyków rosyjskich sabotował wilitarną pomoc Rosji w epoce napoleońskiej, zaczynając od zmarnowanych zwycięstw Suwowa w Italii — interpretowany jest przez prof. Chałasińskiego jako produkt kompleksu psychicznego zdegradowanego arystokraty polskiego. Ależ tu. Szanowny Autor, jeśli sięga pamięcią w czasy austriackie, widział hrabiów galicyjskich na stanowiskach starosty? Wiadomo przecie skądinąd, że przez sto lat było to pole działania nasyłanych z poza granic królestwa Galicji i Lodomerii obcoplemiennych i obcojęzycznych Precelicków a później zawodowych biurokratów — Polaków z rodu — zaczynających w tajemniczości do swego arcytrudnego rytuału od stopnia C. K. kancypisty. Jeśli by zaś pośród starostów znalazł się jakiś zrujnowany hrabia, to można ręczyć, że nigdy by nie fatygował się osobliście rozumieniem i stosowaniem wawilnych rozporządzeń urzędowych (przyszłowe „austriackie gadanie”), lecz zwałiby tę czynność na barki często bardzo nisko urodzonych pomocników.

Nie mniej przeciwnym prawdzie jest zarzut płaszczenia się przed arystokracją, obejmowanie roli jej satelity. Nawet jeśli będziemy traktowali inteligencję, zgodnie z obalonym tu przeze mnie mitem, jako wyłącznie szlachecką, to i tak nie możemy zapominać o odwiecznym antagonizmie szlachty i panów, wyrażającym się za Rzeczypospolitej w upórządkowej i zwycięskiej, przynajmniej formalnie, walce o równość szlachecką, później aktualnym jako ważny problem w dziele solidarności narodowej przez znaczną część XIX w. Mnóstwo powieści, zwłaszcza Kraszewskiego, odbija ten antagonizm i stara się znaleźć płaszczyznę porozumienia i współdziałania. W żadnej chyba literaturze, tak jak w polskiej, tytuł hrabięgo nie jest hańbiącym, a przynajmniej ośmieszającym piętnem postaci powieściowej czy dramatycznej; wyjątki są nader rzadkie. W płaszczyźnie zaś rzeczywistości historycznej, jeśli chodzi o polityczną funkcję inteligencji polskiej, której znaczenia i charakteru prof. Chałasiński na wstępie swej pracy nie zaprzecza, to trzeba dorzucić, że nie tylko wszelkie ruchy rewolucyjne, od reform Sejmu Czteroletniego poczynając, były dziełem jej myśli przynajmniej, jeśli nie rąk, ale

I wszystkie były przez nią zabarwione racykalizmem społecznym mniejszym, lub większym, lecz bardzo znacznym w stosunku do otaczającej rzeczywistości. Jeśli nie przeprowadziła swych celów ani kuźnica kółłatajowska, ani radykalne oficerstwo Legionów, zapatrzona w rewolucyjną Francję, ani Belwederczycy, Mochnacki i Lelewel, z „motlochem” warszawskim w sierpniowych dniach 31 r., ani Dembowski w 1846 r., ani Czerwoni w 1863 r. to było wynikiem niepowodzenia w walce z wrogiem zewnętrznym, a w okresie walki — rezultatem konieczności kompromisu taktycznego z reakcyjnie usposobioną, a materialnie potężną częścią społeczeństwa. Żadną zaś miarą nie konsekwencją szlacheckiego pochodzenia wymienionych wyżej działaczy, czy też ich następców, Jarosławów Dąbrowskich czy Walerych Wróblewskich.

Nie więcej uzasadnione są zarzuty, jakie się czyni i dzisiejszym dyspozycjom psychicznym inteligencji. Że brak nastawienia użytecznego, że inteligent polski to nie „nowoczesny człowiek warsztatu pracy zawodowej”, że improduktywizm tkwi w „pańskim” klimacie kultury polskiej, itd. Wszystko to można uznać za aktualne w chwili obecnej przypomnienia hasel pozytywistycznych, ale nie za fakty obiektywne uzasadnione ujęciem rzeczywistości. Cóż, czy nasze fabryki, kopalnie, koleje zostały uruchomione bez udziału naszych inżynierów i innych zawodowych „pracowników umysłowych”? Czy też występkami jest z mojej strony, że piszę artykuł, a nie stażę do taśmy fabrycznej wraz z innymi podobnie obciążonymi inteligentami? Lecz i gdzie indziej są pisarze, nie tylko technicy i wytwórcy dóbr materialnych.

### TRZEŹWOŚĆ I PRAKTYCZNOŚĆ POLSKA

Ale może grzech miał miejsce w przeszłości, w epoce powstania i rozwoju kapitalizmu? Może wówczas inżynier polski zamiast planów, kreślił własne drzewo genealogiczne lub siedział zadumany nad szlachetnością swego urodzenia? Nie, pracował tam, gdzie mu wolno było, gdzie miał odpowiednie warunki, zyskowny teren pracy, gdzie, właśnie myśląc trzeźwo, kategoriami gospodarczymi, pracą jego znajdowała lepsze warunki opłacalności. „Rafli Modjeski” wstawiał się jako konstruktor mostów w Ameryce, wiele lat przedtem „zaczny „Gajewski Jan” zginął od kolta” w Anglii, dostarczając symbolu filozoficzno-religijnej koncepcji Norwida; ale przede wszystkim i masowo inżynier polski występował w Rosji związanej z większą częścią jego ojczyzny wspólnotą państwową. Ołbrzymia falanga inżynierów polskich z Kierbedziami na czele budowała armaturę techniczną tego kraju, zwłaszcza koleje, mosty, porty (Szyszowski) a nawet wytyczała drogę lotnictwa (Jarkowski). Szli tam pionierzy wyzyskania bogactw naturalnych Urалу i Syberii, dochodząc olbrzymich fortun (Poklewscy-Koziellowie), przewyższonych jednek przez najbogatszego człowieka Rosji w pewnym momencie, Karola Jaroszyńskiego. Wszyscy wymienieni z nazwisk to szlachta z pochodzenia, związana najczęściej osobiście jeszcze z ziemią, w ostatnim wypadku członek rodziny od paru pokoleń „pańskiej”.

Za zdobycie pieniędzy fundowali w kraju uniwersytety, Szkoły Sztuk Pięknych, biblioteki publiczne, zasoby Akademii i kasy Mianowskiego, w tym ustępując względem sentymentu narodowego: źle się stało, że nie inwestowali tu swoich kapitałów, ale myśląc kategoriami gospodarczymi (znowu!) inwestowali tam, gdzie lepiej się procentowało. Można tego dziś żalować, ale brak daru proroczego należy wybaczyć. Nie jest on też zresztą przywilejem powszechnym plebejów.

Dajem konkretne przykłady działalności prawie wyłącznie inżynierów: zawód to charakterystyczny dla epoki przechodzenia na nowoczesny kapitalizm, opiewany przez literaturę pozytywistyczną, istotnie, gdy sięgnę do wspomnień rodzinnych, najczęściej obierany. Ale inne zawody mogłyby dostarczyć tak samo licznych przykładów aktywności praktycznej naszej inteligencji i jej osiągnięć w skali europejskiej, świadczące o żywotności i zdolności adaptacji do aktualnych warunków życia gospodarczego, nieoddzielnej zawsze, specjalnie może u nas, od warunków politycznych. Świeży przykład powszechnego czynnego zainteresowania się handlem nawet potomków tych, którym prawo zabra-

niało parać się kwartą i lokiem, jest tego twierdzenia dowodem. I znów nie chciałbym, żeby moje słowa były rozumiane jako obrona szlachty lub ludzi szlacheckiego pochodzenia. To, co wyżej powiedziałem stosuje się do inteligencji nieobciążonej tym grzechem. Bez megalomanii narodowej, zawsze mi obecnej (powołuje się na świadectwo nielicznych mych czytelników sprzed wojny, a i teraz zachowują odrębną i niepochlebłą opinię o szeregu uznanych arcydzieł narodowych z „Faraonem” na czele) muszę stwierdzić

PAWEŁ HERTZ

## Klerk o poezji

Gdy przystąpiono w okresie powojennym do rewizji gatunków literackich i ustalono wreszcie tradycje o które oprócz należały twórczość współczesnych, posługiwano się przykładami i dowodami z zakresu prozy. Chciałbym jeszcze dla uniknięcia nieporozumień zaznaczyć, że mówiąc o ustaleniu tradycji nie mam oczywiście na myśli mechanicznego wyboru tradycji, dokonanego przez kilku krytyków na podstawie takiego czy innego podręcznika historii literatury.

Rzecz jasna, że epoka, w której żyjemy, układ społeczno-ekonomiczny świata — wszystkie wreszcie elementy, z których zbudowana jest nasza rzeczywistość historyczna implikują nawrót do porzuczonego w połowie XIX wieku wielkiego realizmu.

Poezja natomiast wymyka się spod tych norm, które stają się dziś obowiązujące dla prozy. Jak się to dzieje, że nie jesteśmy w stanie czytać dziś werbalistycznych wierszy Hugo z „Roku straszliwego”, że zachwycał nas w okresie wojennym, gdy np. nieczytelny zupełnie był Joyce czy Kafka, wiersz Stefana Mallarmé, że jednocześnie w Słowackim i Mickiewiczu szukaliśmy wierszy najprostszych? Zdecydowanie poezja rządzi się innymi prawami. Nie do mnie w tym miejscu należy rozważanie, jakimi prawami rządzi się poezja. Chciałbym tylko zrelacjonować niezmiernie interesujący artykuł Juliana Bendy, który przeczytałem niedawno w „Revue de Paris”, a który, świadcząc o tym, że we Francji, jak i u nas zagadnienie poezji budzi wciąż jeszcze dyskusję.

Okazało się bowiem, że gdy natłaczamy żądania od poezji zaspakajania naszych potrzeb aktualnych, otrzymujemy przeważnie w rezultacie lichy plakat propagandowy — z drugiej zaś strony wiemy dobrze, że głoszona w swoim czasie przez Bremonda teoria poezji czystej nie była i nie jest wystarczająca. Mamy wiersze Puszkina, Heinego czy Mickiewicza par excellence politycznie aktualne i odpowiadające jednocześnie wszelkim postulatam wielkiej poezji, mamy bezinteresowne i „czyste” wiersze innych poetów, które nie odpowiadają dziś żadnym naszym potrzebom.

Benda w swoim artykule „Non possumus (A propos d'une certaine poésie moderne)” atakuje te pozycje współczesnej liryki francuskiej, które wydawałyby się nam dzisiaj najmocniejsze. Benda usiłuje mówić o poezji z punktu widzenia czytelnika, to znaczy przygotowuje nas do tego, że postawi przede wszystkim zagadnienie komunikatywności poezji. Wskazuje na utrudnienia, które stworzyła poezja nowoczesna, likwidując wiersz metryczny i zastępując metr rytmem, (chciałbym zaznaczyć, że straszczaiąc artykuł Bendy posiłkuje się odpowiednikami jego terminologii w języku polskim), na brak muzyczności, charakterystycznej dla wiersza regularnego, która zdaniem Bendy stanowi jeden z zasadniczych czynników nieświadomego zadowolenia estetycznego u większości czytelników. Drugim utrudnieniem jest likwidacja znaków przesłankowych; poeta zmusza w ten sposób czytelnika do samodzielnego szeregowania myśli zawartych w utworze. Benda twierdzi, iż pogarda dla przeciętnego czytelnika przy jednoczesnym zadowoleniu autora, że może rytmować go swymi „rebusami” stanowi część współczesnej estetyki pewnego gatunku.

Wysuwając te zastrzeżenia Beneda cytuję zarówno Apollinaire'a jak i Stefana Mallarmé.

I tu okazuje się, że oba te utrudnienia wynikają z założenia poetów, że wiersz przeznaczony jest do wygłaszania, a nie do czytania. Jest w tym — jak twierdzi autor omawianego przeze mnie artykułu — „chęt powrotu do poezji prymitywnej, która nie była pisaną i była nie tylko wygłaszana, lecz częściowo nawet odgrywana”.

przeważającą w naszym charakterze narodowym cechą praktycznego „życiowego” rozumienia, bodaj sprytu, ponad uzdolnieniami artystycznymi, skłonnościami do myślenia spekulatywnego i zainteresowaniami metafizyczno-religijnymi. Jesteśmy aż za bardzo trzeźwi. Często aż za bardzo pozabawieni wyobraźni, co się mści i w życiu praktycznym.

Gdyby nie przekroczenie w tym artykule rozmiarów dopuszczalnych w tygodniku, mógłbym konkretnym przykładem pięciu generacji jednej rodziny zilustrować gene-

zę i rozwój inteligencji polskiej: nie znaleźlibyśmy w nich nic tak bardzo specyficznego, ani zróżnicowanego w porównaniu z analogicznymi przemianami społeczeństwa na wschód i na zachód od nas. Upatrywanie specyficzności grzechów naszej inteligencji w jej genealogii jest przeobrażeniem jej w kontusz, dawno już, jak wiadomo, wraz z innymi strojami narodowymi i innych narodów, odesłany do muzeum historii kultury, wiedzy jednak bardzo potrzebnej

K. W. Zawodźniński

Benda stara się poprzeć licznymi cytowaniami swoją tezę, cytując Mallarmégo, Eluarda i inn. „Powrót do literatury wygłaszanej — pisze Benda precyzując swoje stanowisko w tej sprawie — jest pożądanym przez naszych estetów nie tylko w dziedzinie poezji, lecz, co ciekawsze w dziedzinie literatury o intencjach ideologicznych. Jeden z tych estetów oświadcza, że gdyby czytano głośno „niekończące się” zdania Prousta, stałyby się one całkowicie zorganizowane i zrozumiałe... Trzeba przyznać, że zdanie Kartezjusza czy Rousseau, gdy wymieniamy już autorów, budujących długie zdania, nie potrzebuje „speakera” by stać się zorganizowane”. Tym samym Benda nie bez złośliwości wypowiada swoje podejrzenia co do intelektualnej zawartości tej poezji, która uważa za poezję przeznaczoną do wygłaszania.

Rzecz jasna, że Benda nie atakuje poezji współczesnej w całości. Gdy mówi o poezji przez siebie atakowanej, używa terminu „une certaine poésie moderne” czyli unika generalizowania.

Głównym zarzutem, który czyni Benda tej poezji jest jej niezrozumiałość. Twierdzi, że zrywa ona nie tylko z „łatwą jasnością”, ale z wszelką jasnością i staje się niezrozumiałą nawet dla wybranych „zrywając z ideą, z logicznym układem pojęć, z tymi czynnościami umysłu, które są wymierne, a będąc wymierne są jasne, nie będąc łatwymi”.

Ataki Bendy zwracają się w tym miejscu przeciwko Mallarmé, który według niego w swoim dziele nie tylko uniemożliwia łatwe zrozumienie, ale uniemożliwia zrozumienie w ogóle — „stawia dogmat, że jasność stanowi wadę i że dzieło sztuki nie powinno być jasne dla nikogo”.

W zakończeniu tej części artykułu, w której poruszona została sprawa niezrozumiałości poezji, wypowiada Benda zdanie, które użyte przez nieodpowiedzialnych demagogów mogłoby doprowadzić do całkowitej likwidacji poezji rzekomo niezrozumiałej: Benda cytując skrajnie, przyznać muszę, głosy w obronie „poezji samej w sobie” pisze: „W tej formie wyraża się jasno antyspołeczna intencja estetyki współczesnej”.

Przechodząc do sprecyzowania swoich poglądów na poezję dzisiejszą, Benda stwierdza, że „wrażenie luki, która wytworzyła się między większością współczesnych poetów i stuleciem, odczuwamy równie silnie, gdy stworzymy któreś z liczących współczesnych pism poświęconych poezji”. Benda narzeka na przerost zainteresowania i rozwoju techniki poetyckiej na drobniagowe analizy drugorzędnych jego zdaniem spraw i tak dalej: „nie znajdujemy w nich — pisze Benda — ani jednego zdania, w którym by zastanawiano się, czy poeci zaspakajają w istocie potrzebę poezji takiej, jak ją ludzie wrażliwi na tę sztukę lecz nie znający rzemiosła, rozumieją. Co więcej, stwierdzamy, że ci ludzie nie są w ogóle reprezentowani w tych wydawnictwach, których wszyscy redaktorzy są mną lub więcej poetami. Odbieramy wrażenie że pisma te są redagowane przez ludzi piszących dla swego środowiska i dla siebie, że odpowiadają one tylko zainteresowaniom spekulatyw i nie obchodzą nas bardziej niż białeletny przemysłu górniczego lub technologii rolnictwa”.

Zdaniem Bendy, jest to literatura wyłącznie dla literatów, i tu Benda, który uważa, że proza francuska zaspakajała potrzeby czytelnika (Mauriac, Martin du Gard, Romains częściowo Proust) twierdzi, że potrzeby te nie zostały zaspokojone „w dziedzinie poezji, gdzie 14 czterdziestu lat nie widzę ani jednego wartościowego lub bardziej znanego artysty, który by nie był ezoteryczny”. Wyjątek czyni Benda w przypisku dla Aragona w jego ostatnich utworach i pani de Noailles.

Benda życzy sobie nowego Hugo i obawia się, czy „gdy mistrz taki się zjawi będzie potępiony przez „cénacle”, „ani wlaściwymi będą mieli odwagę wytrwać i proklamować swoje upodobania poetyckie”.

Kończąc te interesujące wywody, z którymi ostatecznie trudno się zgodzić, biorąc pod uwagę rozwój poezji po doświadczeniach surrealistów, pisze Benda: „Większość współczesnych poetów sprawia na mnie wrażenie uprawiających poezję dlatego, że ich epoka, jak wszystkie epoki, ma potrzebę uprawiania tej czynności; nie ma to nic wspólnego, a w każdym razie nie implikuje, tworzenia dzieł naprawdę poetyckich. Rozróżnam w historii dwa rodzaje poetów: jedni piszą dlatego, że wypowiadają rzeczy wieczne, inni — dlatego, że każda epoka musi produkować poetów. Poeci współcześni według mnie, wydają się należeć do drugiej grupy”.

Jak w dzimwy, Benda bez entuzjazmu odnosi się do współczesnej twórczości poetyckiej Francji. Można zgadzać się z sądami ogólnymi Bendy lub nie — natomiast należy stwierdzić, że sprzyjanie gatunkowi Hugo przy jednoczesnym mówieniu o poetach piszących rzeczy wieczne jest wysoce podejrzane. Kto wie, czy Benda nie byłby zwolennikiem werbalizmu, bardziej jeszcze nieznośnego niż od rzekomo ciemnych poetów, jak Mallarmé?

Sytuacja poezji nie jest łatwa. Trudno stworzyć jakieś kryteria ocen ostatecznych i stałych. Trudno — bo okolicznościowe wiersze Goethego, polityczne — Heinego czy Mickiewicza są wielką poezją, a najszlachetniejszych w ideologicznym sensie wierszy Hugo lub, zachowując wszelkie proporcje Goszczyńskiego, czytać dziś nie możemy.

Nasuwa się pytanie, czy nie należałoby po prostu porzucić na klasyfikacji wg systemu najprostszego na dobrą i złą poezję, kierując się perspektywą historii literatury i rozwojem techniki poetyckiej. Rzecz prosta nie uznamy dziś za „dobry” wiersza nieporadnego technicznie, choćby miał treść jak najbardziej szlachetną. Z drugiej strony nie można aprobować wyłącznie technicznych osiągnięć. Mit podziału poezji na „awangardową” i „passeistyczną”, na „zrozumiałą” i „niezrozumiałą”, na „ciemną” i „jasną” musi ustąpić podziałowi na poezję dobrą i poezję złą.

Nie propagując bynajmniej hasel irracjonalizmu w ocenie poezji, sądzę jednak, że nie ma innej możliwości oceny wiersza. Poezja, zwłaszcza dziś gdy po doświadczeniach ostatnich lat trzydziestu nikt już nie cofnie się do klasycznego opisu Boileau ani do werbalizmu Hugo, gdy większe formy poetyckie skazane są na niepowodzenie, jak o tym w polskiej liryce świadczą liczne próby współczesnych, winna przekazać część swych dawnych kompetencji prozie.

Specyficzny przykład Majakowskiego, który można przytoczyć dla obalenia powyższego zdania paruje z góry odpowiedzą, że przykład Majakowskiego jest dziś niepowtarzalny z uwagi na odmienne warunki.

Czytając uważnie współczesną lirykę francuską, stwierdzimy bez trudu, że najbardziej związani z wyraźnie określonymi ruchami ideowymi poeci nie idą w ślady Majakowskiego, co więcej nie starają się o zrozumiałość i jasność, której rzekomo w imieniu czytelników francuskich domaga się w swoim artykule Benda. Aragon stylizuje swoje wiersze o treści najbardziej nawet związanej z rzeczywistością polityczną na średniowieczne ballady. Eluard, pisząc o bohaterstwie ruchu oporu, nie rezygnuje ze swoich zdobyczy surrealizmu, Cassou wreszcie zamyka swoje „Sonety piane w ukryciu” w klasycyzujące, bardzo „passeistyczne” strofy.













## PRZEGLĄD PRASY

Numer lutowy (2) miesięcznika „Twórczość” został w całości prawie poświęcony rocznicy kościuszkowskiej oraz rocznicy rewolucji 1846 roku. Numer otwiera „Rozmowy” Kościuszki ze Stanisławem Augustem, carem Pawłem I, Fouchem, Napoleonem. Teksty tych dialogów zostały wybrane z rozmaitych źródeł polskich i francuskich i umiejętnie zgłosowane przez Adama Mauersbergera.

Jerzy Eugeniusz Plomieński zamieszcza szkic historyczny „Przed powstaniem”, obrazujący polityczną sytuację Rzeczypospolitej Krakowskiej od roku 1815 do roku 1846. Zwięzła charakterystyka postaci i okresu jest doskonałym przygotowaniem do lektury obszernego i wyczerpującego studium Romana Werfisa „Dembowski i Szela”. Werfel szeroko uwzględnia w swoim studium momenty klasowe powstania 46 roku.

„Pamiętnik z 1846 roku” Lucyny Kraśnickiej, odnaleziony w rękopisach pamiętnika Karola Estreichera, członka powstania 46 roku, nie jest rewelacyjny w sensie historycznym, jak również nie akcentuje istotnych cech krakowskiej rewolucji. Tym niemniej udostępnienie tych notatek przez Krystynę Grzybowską uważać należy za bardzo szczęśliwe już choćby ze względu na to, że Kraśnicka, świadek naoczny, podaje wiele szczegółów, natury obyczajowej raczej niż historycznej, których w innych źródłach nie znajdziemy.

Pozycje literackie tego numeru „Twórczości” również są częściowo związane z obiem rocznicami.

Janina Skowrońska-Feldmanowa zamieszcza dwa akty swego dramatu o Kościuszcze „Tadeusz i Ludwika”.

Zalować należy, że dramaturga pociągnął najmniej może interesujący nas dziś fragment życia Kościuszki. Język postaci scenicznych został nie bez wdzięku stylizowany, co w razie wystawienia niewątpliwie utrudni szerokim rzeszom publiczności zrozumienie tekstu.

Tadeusz Hołuj publikuje fragment z powieści „Tulacz”, p. t. „Powróć”. Wśród pozycji literackich nie związanych z tematyką rocznicową wypadnie wymienić fragment przekładu z fińskiego eposu ludowego „Kalewala” dokonanego przez Jana Brzechwę. Kazimierz Wyka w szkicu krytycznym „Pogranicze powieści” egemplifikuje dotychczasowe dyskusje na tematy prozy, omawiając trzy, najwybitniejsze jego zdaniem, pozycje: książki Szmaglewskiej, Andrzejewskiego i Pruszyńskiego.

Wyka kończąc obszerną ocenę książki Andrzejewskiego, zamyka swój artykuł następującym zresumowaniem, wynikającym z oceny tej książki i dwu poprzednio wymienionych: „Pomiędzy tą sponkianą zapowiedzią dróg ku prawdzie i epice jaką dostrzegamy u Szmaglewskiej, a tym co wyczytujemy w ostatnim dorobku Andrzejewskiego, wydaje mi się, że zachodzi współbrzmienie. Znaczący jest i czeka przyszłości, czy potwierdzi. Trzeba, by więcej instrumentów włączyło się w ten akord”.

Pozycja niezmiernie ważna, za której umieszczenie należy się redakcji „Twórczości” wdzięczność tych wszystkich, których interesują stan i rozwój kultury polskiej po odzyskaniu niepodległości, jest „Diariusz kultury polskiej 1945” opracowany i poprowadzony objaśniającym wstępem przez Piotra Grzegorzycy. Diariusz zaopatrzone jest w alfabetyczny skorowidz, ułatwiający wyszukiwanie odpowiednich pozycji. Stwierdzając niewątpliwie zasługę autora i redakcji pisma, w którym Diariusz się ukazał, nie możemy jednak powstrzymać się od kilku drobnych uwag: przede wszystkim uderza przewaga informacji dotyczących Krakowa (notatki dotyczące Krakowa są niezmiernie szczegółowe w przeciwstawieniu do ogólnikowo potraktowanych innych ośrodków kultury), brak informacji dotyczących działalności łódzkiego Oddziału Zw. Zaw. Literatów, całkowicie pominięcie działalności Teatru Kameralnego w Łodzi itd. Brak też wyników zapewne z trudności skompletowania pełnych danych, dotyczących pozakrakowskich ośrodków, — są one jednak do naprawienia.

Raz jeszcze pragnęlibyśmy podkreślić doniosłość pracy Grzegorzycy i wyrazić ubolewanie, że Diariusz nie objął pierwszego okresu formującego się życia kulturalnego: roku 1944.

W tym miejscu chciałibyśmy jeszcze stwierdzić, że „Twórczość”, mimo, iż jest miesięcznikiem literacko-krytycznym, rozszerza coraz bardziej zakres swoich zainteresowań, obejmując dziedzinę historii czy filozofii (vide essay Romana Ingardena: „Człowiek i czas”). Ten rozszerzony zakres zainteresowań jest zapewne konsekwencją braku poważnych czasopism naukowych, historycznych czy fi-

lozoficznych. Z tego względu rola „Twórczości” w obecnej sytuacji czasopiśmiennictwa polskiego jest niezwykle cenna. Tym niemniej solidaryzujemy się z nie licznymi, niestety, głosami prasy, domagającymi się czasopism naukowych, których zakres działania byłby ściśle określony.

Przechodząc do omówienia bieżących numerów tygodników literacko-spiętnych zatrzymamy się przede wszystkim na prasie katolickiej, która m. inn. prowadzi ostrą kampanię w obronie Watykanu.

W nr 11 „Tygodnika Warszawskiego” czytamy artykuł ks. Siewiana Wyszyńskiego pt. „Problem Watykanu”. Autor stara się wytłumaczyć niefortunne posunięcia polityczne Piusa XII, które wywołały jak wiemy ostrą sprzeciw nawet wśród szczerze wierzących katolików. Obrona ks. Wyszyńskiego polega jednak na umiejętnym przemilczeniu faktów i na cierpliwym wyjaśnianiu nam „ojcowskiej” postawy Kościoła. „Kościół jest świadom swego ojcostwa w porządku nadprzyrodzonym, ojcostwa, od którego nikogo odepchnąć nie może... Cóż więc dziwnego, że wszyscy chorzy, ulomni, zbutniali, choćby najwięcej kłopotu przyczyniali Kościołowi, nie mogą wypaść spod jego opieki?”

Ks. Wyszyński każe nam zdobyć się istotnie na daleko posunięty obiektywizm, kiedy żąda byśmy zachowali spokój duszy również i wtedy, gdy Watykan działa przeciwko nam: „W rzeczach dla nas niemilych radzibyśmy utrzymać Papieża na wyżynach apolityczności, w rzeczach niemilych dla naszych przeciwników radzibyśmy użyć całej siły moralnej Watykanu, nie wyłączając klątwy, byle tylko zmiękczyć przeciwnika. Błada jednak Państwo gdyby — w podobnych okolicznościach — ta przyzywana na innych klątwa spadła na nas”.

Wreszcie — i tu, wydaje się nam, jest istotne źródło konfliktu współczesnego świata z Watykanem — ks. Wyszyński stwierdza, że gdy „szary, zwykły człowiek czekał po prostu końca wojny... Papież czekał końca innej wojny: wojny prowadzonej w duszy ludzkiej... Papież czekał na odmianę wewnętrzną człowieka”.

Konflikt i depopularyzacja Watykanu wynika zapewne z głębokiego przeświadczenia „szarego człowieka” o bezradności tego idealistycznego systemu, który reprezentuje Papież. „Szary człowiek” wie, że o wojnach nie decyduje nic, prócz konkretnych, wymiernych faktów, leżących całkowicie poza kompetencjami takich czy innych systemów wiary. W dalszym owa „ojcowska” polityka Watykanu bardziej sprzyja i sprzyja tym, którzy lekceważą sobie zupełnie „szarego człowieka” i jego „wewnętrzną odmianę”.

Ks. Wyszyński próbuje nas przekonać, że Watykan w okresie wojny był czymś nadzwyrodnym, wyłączonym z gry: „Pius XII wysuwał cały szereg postulatów, które nie mogły być popularne ani wśród państw totalistycznych, ani dla państw koalicyjnych”. Wiemy dobrze, że zachowanie równowagi na szczycie barykady nie jest nigdy możliwe. Ostatnie posunięcia polityczne Watykanu świadczą o wyraźnych sympatiach Piusa XII dla systemów totalistycznych.

Usiłuje w dalszym ciągu ks. Wyszyński zasłonić Watykan Piusa XII wspomnieniem o papieżu Piusie XI, wspominając o encyklice w sprawie rasizmu. O ile nam wiadomo zarzuty pod adresem Watykanu dotyczą tej polityki, która uprawiana jest za pontyfikatu Piusa XII, nigdy nie kwestionowano natomiast roli i znaczenia tak światłego papieża, jakim był Pius XI.

Jednocześnie w nr 11 „Tygodnika Powszechnego” znajdujemy notatkę „Papieska rocznica”, w której przeczytać można, że prasa polska w roku 1939 („Robotnik”, „Kurier Poznański”) witała z satysfakcją wybór kardynała Pacellego. Dalej czytamy pełne naiwnego zdziwienia słowa, że przecież „Polityka” (uczysłów „Tyg. Pow.”) Stolicy Apost. jest zawsze ta sama: zmierza do celów religijno-moralnych”. Czemuż więc — dziwi się „Tygodnik” — czyni się dzisiaj zarzuty papieżowi? Na tę rozbrajającą notatkę odpowiedź może być tylko jedna: bo czasy nie te, mamy obecnie rok 1946 i jeśli dziś watykańskie „zasady” kłócą się z różnymi koncepcjami życia, jak w r. 1937 i 1939 kłóciły się z ideologią faszystowską, to, wobec tego, że „różne koncepcje życia”, jak eufemistycznie określa „Tygodnik” demokrację społeczną, nie mają nic wspólnego z ideologią faszystowską, zasady te muszą być fałszywe.

W nr 12 „Głosu katolickiego” znajduje my wypowiedź Jana Archity „Religia w demokracji”, gdzie autor nie zadając sobie

wiele trudu i cytując Sir Stratforda Crippsa stwierdza, że jeśli będziemy dążyć do „osiągnięcia celu religijnego, nadprzyrodzonego”, to jednocześnie, po drodze osiągniemy „cele ziemskie, doczesne”.

Nie wiemy kogo dziś w dobie daleko posuniętych zdobyczy wiedzy ludzkiej przekonać może jeszcze czysty fideizm. Zalować należy, że katolicka prasa w Polsce w przeciwieństwie do katolickiej prasy np. we Francji ciągle jeszcze nie stoi na odpowiednim poziomie.

Z pewną satysfakcją notujemy w tym samym numerze „Głosu Katolickiego”, jakkolwiek nie jesteśmy zwolennikami teorii poezji czystej, informacyjny artykuł Wiesława Trzebińskiego o ks. Henryku Bremond, autorze głosnej w swoim czasie pracy „La poésie pure”.

ph

JULIUSZ ŻULAWSKI

## Mariusz i tango Milonga

Teatr Powszechny TUR wystawia codziennie sztukę Pagnola p.t. „Mariusz”. I codziennie pewna część publiczności szczerze wzrusza się, rozrzewna i rozmarza. Obok oznak zniecierpliwienia u jednych — widziałem u drugich oznaki głębokiego „przeżywania” zupełnie wyraźnie. Sala jest pełna po brzegi. Sztuka ma powodzenie.

Wcale nie zamierzam tych objawów powodzenia bagatelizować. Ale, żeby te objawy wytłumaczyć i usprawiedliwić, musiałbym — w ślad za Leonem Kruczkowskim — napisać nową „Obronę banału” zamiast normalnej krytyki i oceny, jaką zwykliśmy stosować do wystawianych w teatrach utworów scenicznych. Bowiem „Mariusz” Pagnola zawiera akurat także właśnie możliwości wywoływania wzruszeń (lub zniecierpliwienia, czy też kpiny), jak naprzykład słynne w swoim czasie „Tango Milonga” lub „Chłopcy, na nas już czas...”, czy inny sentymentalny „szlager” ze słowami Własta, czy anonimowego Tuwima.

Lecz bądzmy sprawiedliwi: nie tylko znakomita większość ludzi szalała zawsze szaleje i będzie szaleć za takim sentymentem, ale i wielu „intelektualistów” można nierzadko złapać na gorącym uczynku rozmarzenia przy dźwiękach banalnej piosenki, szczególnie gdy są już po paru wódkach, gdy jakże słowa „Już nigdy...” coś tam z zamierzchniej przeszłości przypominają, lub gdy odpoczywa się w nastroju jakiegoś tam latwizny uczuciowej, jakichś tam rozdziałów...

Nie. Nie będę jednak pisać „Obronę banału”. Banał jest czymś tak przeraźliwie żywotnym, taką ma zdolność rozkrzewiania się, tak nieznośnie potrafi wślizgiwać się w najrozmaitsze dziedziń — że nie potrzeba go bronić. I bądzmy w dalszym ciągu sprawiedliwi: teksty ostatnich dwóch aktów „Mariusza” są już po prostu okropne.

A mimo to — w widowisku — udało się inscenizatorom częściowo dojść do pewnych osiągnięć, lepszych gatunkowo od królującego w tej sztuce banału, choć te osiągnięcia pozostają oczywiście w granicach, jakie sztuka sobą zakreśliła, a więc w granicach nader ubogich. Wolę od razu zwrócić uwagę na te osiągnięcia, zanim zaczną ubolewać nad resztą.

Mam tu na myśli dwie rzeczy: urządzenie terenu wydarzeń, zwane potocznie „dekoracją”, oraz realizację sceniczną postaci Cezarego i Honoryny. Te rzeczy, razem wzięte, stwarzają przynajmniej doskonałe autentyczne w charakterze obraz francuskiego szynku i tamtejszych ludzi z dużym realizmem wyrażają atmosferę pewnego określonego środowiska, umiejscawiają geograficznie całą dziejącą się sprawę w sposób zupełnie trafny — i w tym sensie stanowią jedyny w całym widowisku element, posiadający jakąś w ogóle wagę. Telesyre — tym razem — bardziej syntetycznie zbudował swoje dekoracje i dzięki temu więcej wyraził nimi, niż kiedykolwiek przedtem. Znam trochę francuskie knajpy portowe: w „Mariuszu” zarówno wnętrze baru, jak i jego związek z prawie niewidzialną ulicą — wszystko to w charakterze utracone jest znakomicie. To samo zresztą twierdzą o nadbrzeżu portowym z 3-go aktu. A przy tym dekoracja zasadnicza (wnętrze baru) zbudowana jest tak, że dobrze współgra z sytuacją, co się w teatrach naszych nie zawsze zdarza. Zelwerowicz w roli Cezarego, właściciela baru i Horecka w roli Honoryny — przyczyniają się ze swej strony do stworzenia tej charakterystycznej atmosfery znakomicie. I to od początku do końca — pełni prawdziwego, przekonywującego wyrazu, bardzo francuscy i całkowicie konsekwentni.

WALENTIN KATAJEW

## SAMOTNY BIAŁY ŻAGIEL

Str. 231

Cena zł. 60.-

Spółdzielnia Wydawnicza „KSIAZKA”

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Lecz tego nie można już powiedzieć o pozostałych bywalcach portowego baru, o pozostałych postaciach środowiska. Przede wszystkim — w przeciwieństwie do realistycznej gry Zelwerowicza i Horeckiej — próbują mniej lub więcej stylizować, co bardzo narusza jednolitość całości. Ale pomijając już to — kapitan Escartefigue zupełnie razi sztucznością, a Panisse, majster sprzętu żeglarskiego, ogromnie efektowny w wielu scenach I-go i II-go aktu — w akcie III-cim i IV-tym bez jednego gestu obronnego zgadza się zlikwidować wszystko to, co sam stworzył. A wydaje mi się, że w tym wypadku można było jednak walczyć z zabójczym tekstem, nie poddawać się już tak bezradnie banałowi, uratować choć trochę ze swej dotychczasowej groteskowości.

Najstraszliwszy zaś, główny ciężar banału stopniowo coraz bardziej bezlistośnie walił się na barki Wołłejki w roli Mariusza i Halny Czengery w roli Fanny grają tu również Łapicki i Karpińska, których nie widziałem. Role te grały oboje możliwie jak najlepiej i nawet w wielu wypadkach odnosili zwycięstwo nad tekstem. Ale trudna rada. Nastrój, wyjęty z czegoś w rodzaju „Szkoda twóch łez, dziewczyno...” musiał ostatecznie w tym widowisku zatriumfować, jako że jest właściwą istotą utworu Pagnola.

Tego utworu, w którym tak pusty i płytki, że aż bezsensowny, a mimo to traktowany serio, okrzyk: Suez! Wyspy Południowe! i t.d. — zgrzytał jak wrzaskliwe rechotanie papugi, przedrzeźniającej dalek, nie z tego już zresztą świata, szepł Conrada.

I znów kwestia, która ostatnio niejednokrotnie z dyskusji i z rozważań krytycznych wypływa: Po co taką sztukę wystawiać? Przecież sam utwór jest kiepskim kiczem, a z drugiej strony z okresem, w którym organizowano widowiska wyłącznie dla solistów, już się teatr od paru dzie siątków lat pożegnał.

Po co taką sztukę wystawiać? Ano, z tych samych względów — powie ktoś — z jakich śpiewano przez megafon „Tango Milonga”. Pewnie. Istnieją teatryki rewilowe, a „Mariusz” bardzo by w pewnym sensie zyskał, gdyby pokazał tę rzecz w formie wodewilu z piosenkami i tańcami. Tak zresztą „Mariusz” bywał już wystawiany. Ale stało się przecież inaczej: Sztukę tę wystawia teatr, który ma spełniać, lub w każdym razie mógłby spełniać poważną rolę kulturalną. Nie znaczy to, że repertuar miałby być dla tych celów bardzo specjalny i wąski. Przeciwnie. Niech będzie jak najszerszy poprzez wszelkiego rodzaju wartościowy dramat, komedię, aż do satyry. Ale niech będzie właśnie na pewnym poziomie, który pozwoli publiczności, przychodzącej na widowisko, wynosić stamtąd jakiś zysk ze zbliżenia się do tematów poprzez teatr, poprzez sztukę.

Temat w „Mariuszu” — dźwięczący tu płytko i fałszywym, nieprzekonywującym tonem — widzieć się daje poprzez beznaście i niesmaczną, bo nie zamierzoną, śmieszność. Śmieszność wypowiedzi, które potraktowane są — i ze strony autora i ze strony teatru — poważnie. A w rzeczywistości reprezentują sentymentalną, pseudo-liryczną, bezwartościową bzdurę, wobec której cały wkład pracy i talentu, cały piękny wysiłek reżysera, dekoratora i aktorów — ogólnego sensu widowiska uratować nie może.

